

W NUMERZE: POLAK W KOSMOSIE! ■ Jak powstaje „ŻUK“ ■ Kiedy w produkcji przeszkadzają drobiazgi ■ Człowiek przed komisją lekarską ■ Dokończenie opowiadania M. Bułhakowa „Morfina“ ■ Nowela filmowa K. Skudzińskiego „Ogłoszenie w sprawie dwóch do rozbiórki domu“ ■ Recenzje ■ Felietony i in.

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

kód



NR 27 (1073) ROK XXI

2 LIPCA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: Archiwum

SŁAWOMIR DARZYCKI

Fabryka między drzewami

Właściwie do dziś nie wiem dlaczego wyobrazałem sobie, że fabryka do której wybieram się będzie taka sama jak setki innych fabryk tego typu w kraju, że przytoczy mnie surowymi bryłami betonowych hal produkcyjnych, brudnymi drogami dojazdowymi, absolutnym brakiem zieleni i minimalnymi odległościami pomiędzy poszczególnymi budynkami.

Tym większe było moje zdziwienie, kiedy znalazłem się już na przedmieściach Lublina: początkowo nawet sądziłem, że wprowadzono mnie w błąd — przez moment wahalem się nawet czy nie wracać do centrum. Jednak okazało się, że od bramy zakładu dzieli mnie... 150 metrów. A wszystko przez tę piękną aleję kilkudziesięcioletnich drzew, które tak skrzętnie ukrywają wejście do FABRYKI SAMOCHODÓW CIĘŻAROWYCH IM. BOLESŁAWA BIERUTA. Podejrzewałem raczej, że jest to początek jakiegoś olbrzymiego parku. Nawet dużo się nie omyliłem: wewnątrz, patrząc w chwilę później z budynku techniczno-ruchowego — dużo zieleni, kwiatów, ozdobnych krzewów i drzew...

Przed wejściem do fabryki, na frontowej ścianie duża tablica: „W XXX-LECIE PRL RADA PAŃSTWA NA WNIOSEK BIURA POLITYCZNEGO KC PZPR NADAŁA FABRYCE SAMOCHODÓW CIĘŻAROWYCH W LUBLINIE ZA WYNIKI GOSPODARCZE ORDER SZTANDARU PRACY I KLASY”.

To było nie tak dawno, ledwie trzy lata temu. A wcześniej...



POCZĄTEK

... grudzień 1948 roku. Sala obrad Kongresu Zjednoczeniowego PPR i PPS. Na ścianie olbrzymia mapa Polski z wieloma świetlnymi punktami. Każdy z nich to nowa inwestycja planu 6-letniego. I Lublin ma tu swoje „światelko”. Będzie to największa inwestycja w całym województwie: Fabryka Samochodów Ciężarowych. W ten sposób zafundowane pod względem przemysłowym miasto stać się miało okregiem przemysłowym, a wybitnie rolniczy region zmienił swoją strukturę na rolno-przemysłową.

Przeglądam długą listę pracowników, którzy pamiętają trudne początki sprzed dwudziestu siedmiu lat. Nie sposób tu wymienić wszystkich nazwisk, jest ich blisko dwieście. Z ich relacji, zawartych w kronice zakładu i okolicznościowych wydawnictwach wylania się obraz tamtych lat.

Początkowo zamierzano budować fabrykę montażu samochodów „GAZ-51” z części dostarczanych przez Związek Radziecki. Rocznie zakładano zmontowanie 12 tys. sztuk ciężarówek. Potem projekt zmieniono i miała to być już nie montownia a Fabryka Samochodów Ciężarowych typu „GAZ-51” („Lublin”) o nośności 2,5 tony. Nowy projekt przewidywał produkcję w wysokości 25 tys. samochodów rocznie oraz dodatkowo pokrycie zapotrzebowania innych zakładów przemysłu motoryzacyjnego na odkuwki, resory i sprężyny, co dawało w przeliczeniu całokształt dodatkowych 13 tys. pojazdów.

Dalszy ciąg na str. 3

ZBIGNIEW S. NOWAK

KIEDY PRZESZKADZAJĄ DROBIAZGI

Nawstępnie wizytówka. Zakłady Przemysłu Welnianego im. J. Pietrusińskiego „Zeltor” w Zgierzu liczą 31 lat. Posiadają trzy wydziały produkcyjne: tkalnie, farbiarnię, wykończalnię. Aktualnie zatrudniają ok. 2 tys. pracowników.

„Zeltor” specjalizuje się w produkcji tkanin ubraniowych, z przedczesankowych: welnianych, elanowo-welnianych, elanowo-argonowych. Roczna produkcja — ponad 5 mln m.b. tkanin.

Ponadto „Zeltor” jest jedynym w kraju producentem tkanin kwasoodpornych, stosowanych w przemyśle chemicznym na odzież ochronną. Rocznie dostarcza ich ok. 800 tys. m.b. pokrywając całkowicie zapotrzebowanie „CENPO”.

Blisko 90 proc. produkcji „Zeltora” to wyroby I gat. Około 10 artykułów wytwarzanych w kilkudziesięciu deseniach ma znak jakości. Dodajmy, że zakłady są zwolnione z krajowej kontroli jakości przez Centralne Biuro Jakości Wyrobów MHIU. Od 5 lat „Zeltor” uczestniczy w ogólnokrajowym konkursie „DO-RO”, zdobywając wyróżnienia, a ostatnio nagrodę III stopnia.

Jedną trzecią produkcji „Zeltor” eksportuje do: USA, Anglii, Irlandii, Holandii, Finlandii, ZSRR, Iraku, Kuwejtu, Jordanii, Libanu, Algerii i in. W latach 1970—77 zakłady pięciokrotnie zdobyły I miejsce we współzawodnictwie o tytuł najlepszego eksportera Zjednoczenia Przedsiębiorstw Welniarskich „Północ”. Eksport mógłby być jeszcze znacznie wyższy, ale przecież rynek krajowy też ma swoje wymagania. Produkcję dla kraju „Zeltor” traktuje równie poważnie i zwykle realizuje ją z nadwyżką, znacznie przekraczając plany dostaw.

To tyle tytułem wstępu i rekomendacji. Mając już przed sobą tak znakomitą wizytówkę zakładów, warto się zastanowić, w jaki sposób dwutysięczna załoga „Zeltora” osiąga takie sukcesy produkcyjne, dodajmy że na przestarzałym parku maszynowym, w trudnych raczej warunkach? W takich przypadkach zwykle podkreśla się rolę zakładowych organizacji, a zwłaszcza Samorządu Robotniczego.

Ta właśnie sprawa przywiodła mnie do zgierskich zakładów. O samorządzie „Zeltora” już wcześniej slyszalem wiele bardzo kontrowersyjnych zdań, uwag, opinii. Ze niby dobrze pracuje, ale mało efektywnie, bardzo się stara, lecz wielu spraw nie potrafi załatwić. We wszystkich tych uwagach przewijały się trzy zasadnicze tematy: plan, modernizacja, części zamienne. Zwłaszcza ten ostatni temat wyprzedzał przy każdej niemal okazji.

Wyrywkowa sonda przeprowadzona wśród załogi potwierdziła wcześniejsze opinie. Kiedy zaś nawiązałem do pracy samorządu, jeden z robotników zastanawiał się przez chwilę, potem rzucił:

— Ja co prawda jestem w Samorządzie, ale jeśli chce pan dłużej i dokładniej porozmawiać o tych sprawach, to lepiej z kierownictwem. Przecież ci ludzie to też samorządowi aktywiści. A już najlepiej to z

samym starym, to znaczy z naczelnym, bo samorząd to jego „konik”. On powinien powiedzieć wszystko, nie „owijając w bawełnę”. To swój chłop...

Spotkanie z kierownictwem zakładów załatwił mi migiem „po starej znajomości” dyr. techniczny „Zeltora”, mgr inż. Jan Kaczmarek. Kiedy czekam w sekretariacie, zza drzwi slyszę głosy: — Nie kryjemy niczego... Mówimy wszystko...

Spotkanie zapowiada się ciekawie. Zbieramy się w gabinecie naczelnego. Są: dyr. Kaczmarek, przewodniczący Rady Zakładowej — Zbigniew Adamczewski, sekretarz propagandy KZ PZPR — Tadeusz Wasilewski oraz „sam stary” i „swoją chłop”, dyr. naczelny i „mgr Jerzy Skretny”. „Barykadujemy się” w gabinecie na dwie godziny; jeszcze tylko kawa, papieros i można pogadać. Temat znany.

J. Skretny: — Tak, to prawda, że Samorząd Robotniczy to mój „konik”. Ale to i wymagania chwili. Kiedyś działały Rady Robotnicze, może nawet niezbyt aktywnie. Ale zawsze mieliśmy dobrą, zgraną załogę, trudności nie było takich jak dziś, więc doskonale radziłem sobie ze wszystkim. Obecnie jest coraz trudniej gospodarować, z różnych względów. Bez wysokiej solidarności i zaangażowania całej załogi, bez powszechnego zrozumienia całej problematyki gospodarowania niemożliwe jest dziś sprawne prowadzenie przedsiębiorstwa. Dlatego musimy postawić na samorządność.

T. Wasilewski: — W samorządzie mamy obecnie 80 aktywistów, w tym jedna trzecia to ludzie młodzi. To odpowiada proporcjom całej załogi, gdzie na 2 tys. osób mamy 600 młodych. Trzon samorządu stanowią aktywiści zakładowych organizacji społeczno-politycznych, młodzieżowych i innych. Ważne jest, by byli to ludzie zaangażowani i w pełni świadomi swoich obowiązków.

J. Skretny: — Przy tym muszą to być ludzie odpowiednio przygotowani do pracy w samorządzie, aby faktycznie mogli współgospodarzyć, pomagać w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

T. Wasilewski: — Dlatego podjęliśmy w tym roku specjalne, systematyczne szkolenie wszystkich członków KSR, przede wszystkim w zagadnieniach ekonomicznych. Ludzie muszą znać i rozumieć ogół związków między różnymi problemami i zjawiskami występującymi w przedsiębiorstwie i poza nim oraz wpływy poszczególnych zjawisk na całokształt działalności przedsiębiorstwa.

J. Kaczmarek: — Prowadzimy szkolenie masowe dla wszystkich członków, w dwóch grupach, metodą seminaryjno-dyskusyjną, jako najbardziej efektywną. W małej grupie ludzie pozbywają się skrępowania, nieśmiałości. Dzięki temu mogą uczyć się i przyzwyczajają do zabierania głosu i na większym forum. Szkolenia pozwalają więc znacznie uaktywnić ludzi.

Dalszy ciąg na str. 6

POLSKI KOSMONAUTA W „SOJUZIE-30”

We wtorek 27 czerwca 1978 roku Polska Agencja Prasowa nadała z Moskwy następujący komunikat:

Dnia 27 czerwca 1978 roku o godzinie 18.27 czasu moskiewskiego w Związku Radzieckim wystrzelono statek kosmiczny — „Sojuz-30”. Radziecki statek kosmiczny jest pilotowany przez międzynarodową załogę w składzie: dowódca statku, dwukrotnie Bohater Związku Radzieckiego, lotnik-kosmonauta ZSRR Piotr Klimuk i Mirosław Hermaszewski przystąpił do realizacji programu lotu. Drugi polski kosmonauta ppłk Zenon Jankowski pełni funkcję konsultanta kierownika lotu w centrum sterowania lotami.

Lot kosmonautów radzieckiego i polskiego na radzieckim statku kosmicznym, odbywający się w przeddzień obchodów Święta Odrodzenia Polski jest jeszcze jednym przykładem dalszego rozwoju przyjaźni i ścisłej współpracy między ZSRR i PRL. Równocześnie to nowe osiągnięcie socjalistycznej nauki i techniki dobitnie odzwierciedla jedność interesów i celów narodów całej wspólnoty socjalistycznej.

Przed lotem mjr Mirosław Hermaszewski powiedział:

DRODZY TOWARZYSZE I PRZYJACIELE!
Mnie, obywateli Polskiej

Rzeczypospolitej Ludowej przypadam w udziale wielki zaszczyt dokonania lotu kosmicznego na radzieckim statku „Sojuz-30” i stacji orbitalnej „Saliut-6”.

Jestem szczęśliwy i dumny z tego, że mój kraj bierze aktywny udział razem z innymi braćmi krajami socjalistycznymi w zalogowych lotach zgodnym z programem „Interkosmos”.

minister obrony narodowej — Wojciech Jaruzelski powiedział dziennikarzom m. in.:

Jesteśmy świadkami wielkiego wydarzenia. Z tego słynnego miejsca, z kosmodromu Bajkonur wystartowała przed chwilą na okołozemską orbitę międzynarodowa, pierwsza radziecko-polska załoga. Nieśmiało ona ze sobą nasze najlepsze myśli i serdeczne uczucia. Przypada jej zaszczytny udział we współkształtującym nową epokę cywilizacji dziele badania i wykorzystania przestrzeni kosmicznej. Jednocześnie reprezentuje ona w tej misji socjalistyczną część świata. Manifestuje pokojowe intencje, daje wzory działania dla dobra całej ludzkości.

Ten wspólny lot podąża pionierską drogą radzieckich uczonych i konstruktorów, organizatorów przemysłu i robotników, radzieckich zdobywców kosmosu. Im wszystkim z tej okazji pragnę w imieniu Komitetu Centralnego PZPR, w imieniu władz naczelnych PRL oraz osobiście tow. Edwarda Gierka przekazać szczerą gra-

tułacje i serdeczne podziękowania.

ZYCIORYS MJR MIROSLAWA HERMASZEWSKIEGO.

Major dyplomowany pilot MIROSLAW HERMASZEWSKI urodził się 15 września 1941 roku w Lipnikach w wielodzietnej rodzinie małego chłopca. Po wojnie rodzina osiedliła się w Wołowie koło Wrocławia.

Już w szkole podstawowej zajmował się modelarstwem lotniczym, a w wieku 17 lat otrzymał książkę pilota szybowcowego. Po ukończeniu szkoły średniej wstąpił ochotniczo do oficerskiej szkoły lotniczej, którą ukończył z pierwszą lokatą w listopadzie 1964 roku. Służył w lotnictwie myśliwskim Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Był dowódcą klucza. W latach 1969—1971 studiował w Akademii Sztabu Generalnego im. gen. Karola Świerczewskiego na fakultecie lotniczym. Potem zajmował szereg stanowisk dowódczych i sztabowych w jednostkach lotnictwa myśliwskiego.

go Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. W styczniu 1975 roku otrzymuje awans do stopnia majora, w kwietniu 1976 roku zostaje dowódcą pułku lotniczego myśliwskiego.

W szkole średniej i w czasie służby wojskowej był aktywnym działaczem Związku Młodzieży Polskiej, a następnie Związku Młodzieży Socjalistycznej. W 1963 roku zostaje przyjęty w szeregach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Szczególne zainteresowania — literatura lotnicza i fantastyczno-naukowa.

Uprawia lekkoatletykę i szport. Jest wszechstronnie wyszkolonym pilotem wojskowym. Ma na swym koncie 1480 godzin lotów na samolotach bojowych.

Jest żonaty, związek małżeński zawarł w 1965 roku. Zona Emilia, dwoje dzieci, syn Mirosław — 12 lat, córka Emilia — 3 lata.

(PAP)

TRUDNE STUDIA

Rozmowa z prorektorem do spraw kształcenia i wychowania Politechniki Łódzkiej doc. dr KAROLEM HAUSMANEM

— Panie Rektorze, w ostatnich latach studia techniczne nie cieszą się największą popularnością wśród absolwentów szkół średnich...

— Istotnie. Spośród wszystkich typów szkół wyższych, najmniejsza liczba zgłoszeń kandydatów na pierwszy rok studiów napływa do uczelni ekonomicznych i technicznych. Np. w roku akademickim 1976/77, według danych Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, o każde sto miejsc w uczelniach technicznych ubiegało się średnio 210 kandydatów, podczas gdy np. w uniwersytetach — 281, w wyższych szkołach artystycznych — 327, w akademiach medycznych — 256. W Politechnice Łódzkiej w ciągu ostatnich trzech lat liczba kandydatów na studia dziennie utrzymuje się na stałym poziomie ok. 160 kandydatów na 100 miejsc, a więc jest niższa od średniej krajowej dla uczelni technicznych.

— Dlaczego tak się dzieje?
— Myślę, że duży wpływ na to ma stosunkowo bliskie sąsiedztwo innych uczelni technicznych. Istnieją one w Warszawie, Poznaniu, Kielcach, Radomiu, Częstochowie i Płocku. Kandydaci wybierają zwykle uczelnię najbliższą swego miejsca zamieszkania. Nasi studenci rekrutują się więc głównie z Łodzi i miejscowości podódzkich, podczas gdy np. Politechnika Warszawska obejmuje swym zasięgiem oprócz Warszawy i okolic, cały obszar północno-wschodniej Polski.

— Jakże widzi Pan przyczyny przedkładania przez młodzież studiów humanistycznych, medycznych, rolniczych i wielu innych nad inżynierskie?
— Sądzę, że powody są różnorodne. Do głównych zaliczyłbym duży stopień trudności studiów technicznych. Studenci politechniki mają więcej zajęć programowych od swych kolegów z uniwersytetów, a tym samym mniej czasu wolnego. Jednocześnie są bardziej obciążeni pracą samodzielną. Wymaga się przecież od nich nie tylko znajomości teorii, ale także umiejętności rozwiązywania konkretnych zagadnień praktycznych, co można osiągnąć jedynie drogą systematycznych i częstych samodzielnych ćwiczeń. Wiele czasu zajmują też studentom liczne prace kreślarskie i projektowe, przygotowywanie sprawozdań z przeprowadzonych ćwiczeń laboratoryjnych itp.

Niebagatelny wpływ na decyzję o wyborze kierunku studiów mają także wyniesione ze szkoły zainteresowania i zamiłowania do poszczególnych przedmiotów nauczania oraz rozeznanie własnych szans podczas egzaminów wstępnych. Matematyka i fizyka — przedmioty egzaminacyjne obowiązujące na wszystkich kierunkach egzaminacyjnych (jedynie kandydaci na chemię mogą zdawać egzamin z chemii zamiast fizyki) są powszechnie uważane przez uczniów za najtrudniejsze. Wiele jest jeszcze szkół, w których nauczyciele nie potrafili rozbudzić zamiłowań do nauk ścisłych. Zbyt liczna jest grupa tych uczniów, którzy cieszą się, że po maturze nie będą już musieli zajmować się matematyką i fizyką.

O zainteresowaniu poszczególnymi kierunkami studiów decyduje też charakter pracy wykonywanej po ich ukończeniu, prestiż społeczny zawodu, sytuacja materialna danych grup pracowniczych. Stopień nasycenia naszego przemysłu kadrami technicznymi o wysokich kwalifikacjach w okresie powojennym systematycznie wzrastał. Obecnie inżynier coraz częściej zamiast „oficerem produkcji”, jak zwykle się go nazywało, staje się „podoficerem”. Coraz częściej bowiem zatrudniają się go na etacie mistrza zmianowego lub równorzędnym. Dyplom politechniczny nie jest więc, jak przed laty, przepustką do wysokich stanowisk kierowniczych w przemyśle.

— Reasumując, mniejsza liczba kandydatów na inżynierów jest skutkiem przemysłu, z którego może wynikać, że studia techniczne nie są bardziej atrakcyjne od innych.

— Chyba nie tylko przemysłu. Problem jest bardziej złożony. Myślę, że utrzymujące się od kilku lat mniejsze zainteresowanie tymi studiami jest też przejawem pewnego podświadomego buntu młodzieży przeciw technicyzacji życia. Młody człowiek, otoczony wokół wieloma urządzeniami technicznymi, odczuwa potrzebę zmiany. W czasach upowszechniania automatyzacji, komputeryzacji i motoryzacji, w czasach gwałtownego uprzemysłowienia kraju, obcowanie z naukami humanistycznymi pozwala „uciec” od codzienności...

— Które wydziały Politechniki Łódzkiej mają największe trudności z wypełnieniem przyznanych przez ministerstwo limitów miejsc na pierwszy rok studiów?

— Od kilku lat najmniej kandydatów ubiega się o przyjęcie na wydziały: włókienniczy i chemiczny. Np. w ubiegłym roku liczba podań o przyjęcie na włókiennictwo była mniejsza od liczby miejsc, jaką dysponowaliśmy. Przypadek ten należy jednak uznać za wyjątkowy, gdyż z reguły nawet na tych najmniej popularnych wydziałach liczba kandydatów przekracza nieco ilość

miejsc. Niestety, po egzaminach okazuje się zwykle, że tych, którzy zdali, nie starcza do wypełnienia limitów.

— Zatem dodatkowa rekrutacja we wrześniu?

— Nie. Od wielu lat stosujemy inną metodę. Podjęcie studiów na wydziałach, które po zakończeniu egzaminów dysponują jeszcze wolnymi miejscami proponujemy w pierwszej kolejności tym kandydatom, którzy pomyślnie zdali egzamin wstępny w naszej uczelni, lecz nie zostali przyjęci na wybraną przez siebie specjalność z powodu braku miejsc. Oczywiście, nie muszą oni powtórnie zdawać egzaminu.

W moim przekonaniu, postępowanie takie jest społecznie uzasadnione, gdyż pozwala zmniejszyć stopień niezadowolenia i oszczędza rozczarowań znacznej liczby kandydatów. Jest to też metoda zgodna z elementarnym poczuciem sprawiedliwości społecznej, ponieważ dodatkową szansę otrzymują najlepsi spośród tych, którzy przegrali konkurs o przyjęcie na wybrany kierunek.

— Czy można wyluczyć mniejsze zainteresowanie kandydatów chemią i włókiennictwem, niż np. mechaniką?

— Trudno udzielić pełnej i obiektywnej odpowiedzi. Wymagałoby to przeprowadzenia szczegółowych badań motywacji, jakimi kierują się maturzyści w chwili wyboru kierunku studiów. Myślę jednak, że w przypadku włókiennictwa, duży wpływ na brak szerszego zainteresowania tym kierunkiem ma dość powszechna jeszcze opinia, że w przemyśle lekkim istnieją dużo gorsze niż w innych branżach warunki pracy, przestarzały park maszynowy, uciążliwe tradycyjne technologie, słabe zaplecze socjalne. Rzecz jasna, nie jest to prawda. W ostatnich latach obserwujemy бурлиwą modernizację tego przemysłu. Warunki pracy w zakładach włókienniczych uległy radykalnej zmianie. Wybudowano nowe fabryki, zmodernizowano wiele już istniejących, wyposażając je w nowoczesne maszyny i wprowadzając najnowsze technologie. Jednak potrzeba jeszcze kilku lat, aby te przemiany znalazły pełne odzwierciedlenie w świadomości społecznej. Ugruntowane w ciągu wieloletnich doświadczeń i obserwacji opinie nie mogą ulec zmianie z dnia na dzień.

— W porę dostarczona kandydatom wyczerpująca informacja o programie i toku studiów oraz o możliwościach zatrudnienia po ich ukończeniu może wcale wielu pomysłom w momencie podejmowania decyzji o wyborze kierunku studiów. Co czyni Uczelnia, aby takich pomysłów było jak najmniej?

— Od wielu lat prowadzimy akcje tzw. drzwi otwartych. W ustalonych terminach, o których powiadamy zainteresowanych za pośrednictwem szkół średnich i prasy, organizujemy spotkania z maturzystami oraz uczniami klas przedmaturalnych. Nauczyciele akademicy naszej uczelni zapoznają ich z zasadami rekrutacji, zakresem wymagań obowiązujących na egzaminach wstępnych, przebiegiem i warunkami studiów, charakterem przyszłej pracy zawodowej. Podczas tych spotkań uczniowie zwiędzają pracownie i laboratoria dydaktyczne, audytorium i kreślarnie, które dla wielu z nich będą miejscem 4,5-letnich studiów. Uwazam, że główną zaletą akcji drzwi otwartych jest bezpośredni kontakt uczniów z pracownikami naukowymi, umożliwiającymi natychmiastowe wyjaśnienie wątpliwości nurtujących kandydatów na studia. Ponadto, co roku wydajemy aktualny informator, który jest rozsyłany do szkół średnich, a także dostępny dla zainteresowanych w Sekcji Rekrutacji PŁ.

Do akcji informacyjnej włączają się też studenci. Co roku w Soczewce koło Płocka Rada Uczelniana SZSP organizuje w miesiącach letnich obozy dla uczniów, którzy zostali promowani do klas maturalnych. Uczestnikom, a za ich pośrednictwem także wielu innym maturzystom, przekazuje się tam informacje istotne dla kandydatów na studia. Każdego roku odwiedzam też obozy i chętnie uczestniczę w spotkaniach z uczniami, którzy swymi pytaniami inicjują bardzo interesujące dyskusje.

Niektóre studenckie kółka naukowe rozwijają swą działalność na terenie szkół średnich. Z uczniami spotykają się też w szkołach pracownicy naukowcy PŁ.

— Stąd wniosek, że przy odrobienie dobrej woli, każdy uczeń klasy maturalnej może otrzymać z Uczelni wyczerpującą informację.

— Leży to również w naszym interesie. Nie chcemy przecież, by przypadek decydował o wyborze studiów w PŁ.

— Jaki więc powinien być idealny kandydat na Politechnikę?

— Powinien wykazywać zdolności w kierunku przedmiotów ścisłych, umiejętność samodzielnego, logicznego myślenia, zamiłowanie do techniki i dobry stan zdrowia. Poza tym, zarówno same studia, jak też późniejsza praca zawodowa, wymagają takich cech osobowości, jak sumienność, wytrwałość i systematyczność. Na studiach technicznych są to zalety często decydujące o powodzeniu. Większość przedmiotów objętych programem wymaga systematycznych, żmudnych, samodzielnych ćwiczeń. Kto tylko jedynie na swe zdolności pamięciowe i rozpoczyna naukę dopiero na kilka dni przed egzaminem, nie ma szans na sukces. Wynika stąd, że idealny kandydat, o którym rozmawiamy, powinien umieć optymalnie organizować sobie czas pracy. Optymalnie — to znaczy tak, by osiągnąć maksimum efektów przy możliwie najmniejszym wysiłku. Kto tego nie potrafi, ten albo nie będzie w stanie wywiązać się z zadań, jakie postawi przed nim uczelnia, albo studia staną się dla niego zamiast przyjemnością — udręką, gdyż przytłoczony pracą nie znajdzie czasu na odpoczynek i rozrywkę. Do wymienionych cech dodałbym jeszcze umie-

jętność pracy w kolektywie oraz wyrobione nawyki przestrzegania

ładu i porządku.

— Jak ocenia Pan Rektor poziom przygotowania kandydatów na studia w PŁ?

— Jest bardzo zróżnicowany — obok znakomicie przygotowanych, zdarzają się też kandydaci bardzo słabi. Ogólnie można stwierdzić, że poziom większości zdających nie jest zadowalający.

— Czy występują istotniejsze różnice w stopniu przygotowania kandydatów w zależności od typu ukończonej szkoły, środowiska lub wybranej gałęzi studiów?

— Z pewnością największy wpływ na wyniki egzaminów mają umiejętności i wiedza wyniesiona ze szkoły. Są licea, np. XXVI LO w Łodzi, których absolwenci od kilku lat w zdecydowanej większości wykazują dobre i bardzo dobre przygotowanie. W ubiegłym roku, spośród szkół województwa łódzkiego, najlepiej zdawali kandydaci z liceów nr nr I, XII, XV, XXI, XXVI i XXVIII w Łodzi, z LO im. Waskiewicza w Głowniu, z I LO w Pabianicach i z II LO w Zgierzu.

Znacznie mniejszy wpływ na poziom przygotowania ma, moim zdaniem, środowisko społeczne kandydata. Istnieją natomiast wyraźne zróżnicowania w zależności od wybranego kierunku studiów. Na kierunkach o największej liczbie kandydatów na jedno miejsce, jak np. elektronika, budownictwo czy elektrotechnika, średni poziom zdających jest wyższy niż na pozostałych.

— Coraz więcej szkół wyższych udostępnia zainteresowanym wykazy tematów lub pytań egzaminacyjnych przed rozpoczęciem egzaminów wstępnych. W Politechnice Łódzkiej nadal są one tajemnicą. Dlaczego?

— Uważamy, że ujawnianie tematów egzaminacyjnych jest tylko pozorna pomocą dla kandydatów. Wyjaśnię to na przykładzie. Mam przed sobą wydaną w Politechnice Śląskiej w Gliwicach książeczkę zawierającą tematy obowiązujące podczas ustnych egzaminów wstępnych na tę uczelnię w bieżącym roku. Jest tu 238 zadań i pytań problemowych z fizyki, 534 z matematyki i 250 z chemii. Istnieje niebezpieczeństwo, że kandydat przygotowujący się do egzaminu w oparciu o tę publikację będzie dążył do nauczenia się na pamięć wszystkich rozwiązań i odpowiedzi, co uważam za zadanie niewykonalne. Ponadto, konsekwencje takiej nauki mogą być odwrotne od zamierzonych. Na skutek braku odpowiedzi do zamieszczonych w wykazie zadań, kandydat może niektóre z nich rozwiązać niewłaściwie i utrwalić sobie w pamięci błędne rozwiązania. Sądzę, że o wiele lepiej można się przygotować do egzaminów, korzystając z licznie wydawanych u nas podręczników dla kandydatów na studia oraz zbiorów zadań z rozwiązaniami lub wynikami końcowymi. Pracując w ten sposób kandydat przygotowuje się jednocześnie do egzaminu piśmennego i ustnego, natomiast udostępniane przez uczelnie zbiory tematów dotyczą tylko egzaminów ustnych. Niektóre szkoły wyższe przygotowują mniejszą ilość tematów niż Politechnika Śląska. Prowadzi to jednak do zwiększenia stopnia ich ogólności. Pytania obejmują przecież cały materiał programowy szkoły średniej z przedmiotów egzaminacyjnych. Sądzę, że zamiast wydawać w tysiącach egzemplarzy ogólnie sformułowane tematy, prościej jest odesłać kandydata do spisu treści w odpowiednim podręczniku szkolnym. Wiem, że można podać również wiele argumentów przemawiających za udostępnianiem tematów. Sprawa na pewno jest dyskusyjna. W tej chwili nie widzę jednak sposobu, by wyeliminować powstające przy tej okazji niebezpieczeństwa, o których mówiłem.

— Chyba głównym powodem ujawniania pytań jest chęć złagodzenia towarzyszącego egzaminom wstępnym atmosfery ogromnego napięcia, nerwowości i lęku przed nieznanym. W jaki sposób w Politechnice Łódzkiej dąży się do wyeliminowania nadmiernych obciążeń psychicznych kandydatów?

— Przede wszystkim staramy się zapewnić maksimum spokoju wszystkim egzaminowanym. Rygorystycznie przestrzegamy zasady, że oprócz członków komisji i kandydatów na studia nikt nie ma prawa wstępu do sal egzaminacyjnych bez imiennego zezwolenia podpisanego przez mnie. „Przepustki” takie wydaje tylko w przypadkach wyjątkowych (np. dla przedstawicieli władz kontrolujących prawidłowość przebiegu egzaminów, dziennikarzy itp.). Dążymy też do rozładowania napięcia emocjonalnego poprzez życzliwe, a nawet przyjazne nastawienie egzaminatorów. Czasem wystarczy gest lub uśmiech, innym razem trzeba dać zdającemu dodatkowy czas na opanowanie zdenerwowania, niekiedy zamienić z nim kilka zdań na temat nie związany z treścią egzaminu.

— Nie zawsze jednak właściwe warunki i życzliwy stosunek egzaminatorów wystarcza, by złagodzić napięcie kandydata.

— Sądzę, że bardzo dużo zależy od atmosfery stwarzanej w domu w okresie egzaminów. Doświadczenie uczy, że często rodzice, choć może nie zdają sobie z tego sprawy, wywierają zbyt silną presję na swą córkę lub syna, traktują dostanie się na studia w kategoriach honoru rodzinnego. Wywołują w ten sposób niepotrzebne stresy, które osobom wrażliwym bardzo utrudniają egzamin. Pragnę więc zapełnić do wszystkich ojców i matek, by starali się stworzyć swym dzieciom warunki sprzyjające spokojnemu zdawaniu egzaminów.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: PAWEŁ PATOFA



Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRZOSCIĘLEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JAKIE PANASIEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

FABRYKA ŻUK

MIĘDZY DRZEWAMI

Dalszy ciąg ze str. 1

Budowano zakład i szkolono załogę. Na potrzeby fabryki przejęto tereny zajmowane przez rozlewnię wódek PMS, wykorzystując halę wybudowaną jeszcze przed wojną przez Spółkę „Lilpop — Rau i Lewenstein”. Trudno było sobie wyobrazić uruchomienie tak olbrzymiego zakładu bez pomocy Związku Radzieckiego. Brakowało dosłownie wszystkiego: ludzi, narzędzi, maszyn i — co chyba najważniejsze — doświadczenia. I właśnie w ZSRR opracowano plan generalny i projekt techniczny — łącznie z projektami oprzyrządowań i procesów technologicznych.

Irak, Iran, Syria, Libia, Egipt, Algieria, Nigeria, Liberia, Ghana, Kamerun, Pakistan, Bangladesz, Mongolia, Urugwaj, Ekwador i Kolumbia. Aż wierzyć się nie chce! Oczywiście nie wszędzie kontrakty obejmują dostawy ciągle, często są to partie sondazowe, ale fakt jest faktem: Europa, Azja, Afryka i obydwa Ameryki.

Historia eksportu zapoczątkowana została w roku 1960. Pierwsze dziesięciolecie eksportowych transakcji zamknięto imponującą liczbą blisko 30 tysięcy sprzedanych samochodów. Aktualnie 50 procent całej produkcji przeznaczona jest dla klientów zagranicznych. W dniu, w którym przebywałem w Fabryce przygotowywano

140 WSPÓLNIKÓW

Tradycyjne pytanie w zakładach motoryzacyjnych dotyczy zawsze współpracy z kooperantami. Odpowiedź jest krótka: FSC współpracuje ze 140 dostawcami. Można więc natychmiast zorientować się, jakiej rytmiczności wymagają „obce” dostawy i jak w znacznym stopniu może to rzutować na produkcję w Lublinie. Ale to już taka cecha przemysłu motoryzacyjnego: bierziesz swoje wyroby, ale dajesz swoje. Więc i Lublin produkuje części do innych samochodów: do „Fiata”, „Jelcza”, „Berlieta”, „Stara” i „Poloneza”. O terminowym wywiązywaniu się z

chodni Ministra Przemysłu Maszynowego i Przewodniczącego ZG Związku Zawodowego Metalowców za najlepsze wyniki produkcyjne w branży oraz 5-krotnie Sztandar Prezesa Rady Ministrów i Przewodniczącego CRZZ za najlepsze wyniki ekonomiczne w przemyśle maszynowym) są możliwe do osiągnięcia jedynie z pomocą doskonale wykształconej w swym fachu załogi oraz nowoczesnego parku maszynowego.

Chyba niewielu ludzi w Polsce wie, że słynne szwedzkie samochody marki „Volvo” kooperują właśnie z Lublinem. Z FSC Szwedzi otrzymują m. in. sprężyny przedniego zawieszenia oraz obręcz (kolo z tarczą), które kupuje także angielski „Chrysler”.

jętności kierowcy. Jak się dba — mawiają starzy szoferacy — to się będzie jeździło, co znajduje potwierdzenie we wspomnianym już zlocie starych „Żuków”.

Zakładowy parking świeci pustkami. Nie ma ani jednego gotowego samochodu. Wszystkie natychmiast po wyprodukowaniu są dostarczane po sąsiedzku do „Polmozytu”. Tam też „Żuki” nie rdzewieją w oczekiwaniu na klientów...

Bodaj we wszystkich reportażach z fabryk produkujących samochody wspomina się o specjalnych torach prób, na których sprawdza się jakość pojazdów oraz próbuje nowe modele poszczególnych marek. W Lublinie mówią, że takiego toru budować nie potrzebują, ale nie tylko dlatego, by wzorem innych ustawić tam gotowe samochody. Po prostu na obrzeżu zakładu istnieje stara, nie utwardzona droga, na której „Żuk” odbywa swoje próby: jak się po tym przejeździe i wróci na parking, to i dwadzieścia lat może wytrzymać.

NA POCZĄTKU KAWAŁ ŻELAZA...

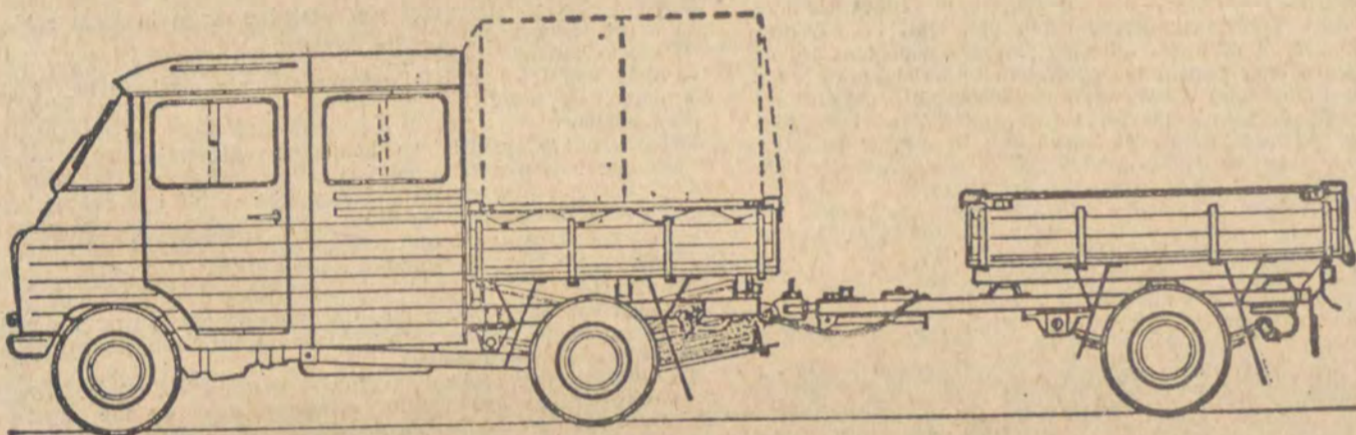
Zastanawiałem się — kończąc swoją wizytę — który z wydziałów FSC obejrzeć. Narzędziownia, kuźnia, odlewnia, resorownia, kolownia...? Zdecydowałem się na halę montażu. Chyba tutaj najlepiej widać, ile pracy i wysiłku trzeba włożyć, by uzyskać „coś”, co samo jeździ i jeszcze pomaga człowiekowi. Na początku taśmy leży kawał żelaza, czyli rama, po obydwu stronach stopy części i podzespołów mocowanych w miarę przesuwu. Obserwowałem, jak rodzi się samochód: resory, zbiornik paliwa, przednie zawieszenie, tylni most — odwrócenie rami — i dalej: pompa hamulcowa, silnik, tłumik, chłodnica, zderzak, kabina, instalacja elektryczna, regulowanie sprzęgła i hamulców, błotniki, siedzenia, światła i... dwa, trzy „kchnięćca” i kolejny „Żuk” o własnych siłach zjeżdża z taśmy. Po przejściu przez 45 stanowisk i zamontowaniu blisko 15 tysięcy różnych elementów powstaje nowy samochód.

Jeszcze przed wyjściem zanotowałem o wzorowo zorganizowanej służbie zdrowia, o stałych dyżurach pielęgniarek i lekarzy i o największym chyba kłopotcie: fluktuacji załogi. Ludzie przychodzą, uczą się (dwa zakładowe Zasadnicze Szkoły Zawodowe, Technikum, Liceum Zawodowe) — a potem rezygnują. Nie bez znaczenia jest tu chyba fakt, że blisko 1/3 całej załogi dojeżdża do FSC z dalszej odległości. Nikt nie ludzi się, że budowa nowoczesnego hotelu robotniczego problem w całości rozwiąże...

GDYBY...

Wracając do Łodzi autobusem PKS-u, który na prostej pod Radomiem jechał ze znaczną prędkością, nie bez satysfakcji popatrzyłem na wyprzedzającego nas z łatwością załadowanego „Żuka” z warszawską rejestracją i przypomniałem sobie wtedy słowa mojej opiekunki w lubelskiej FSC — Alleji Gruszeckiej: — gdybyśmy produkcję zwiększyli nawet kilkanaście razy, to i tak nie zaspokoiły wszystkich oczekujących...

SŁAWOMIR DARZYCKI



Specjaliści radzieccy pomagali na miejscu w rozwiązywaniu trudniejszych problemów, wielu polskich robotników szkoliło się w zakładach samochodowych Kraju Rad.

Kiedy na skutek braku kredytów inwestycyjnych tzw. część metalurgiczną fabryki, którą zamierzano ukończyć w 1958 roku — przesunięto o 4 lata, załoga opracowała własną koncepcję budowy fabryki.

17 500 „Lublinów” w ciągu ośmiu lat to wiele nowych doświadczeń. To także budowa nowych hal i tworzenie nowych wydziałów. Już wtedy dla nikogo nie było żadną tajemnicą, że przygotowywano się do budowy nowego, bardziej ekonomicznego i szybszego samochodu. Produkowany do tej pory „Lublin” pokrywał wycinkowe potrzeby transportu krajowego, nie pokrywał jednak szybko rosnącego zapotrzebowania na lekki tabor dostawczy.

NARODZINY „ŻUKA”

W październiku 1958 roku — początkowo jeszcze równoległe z „Lublinem” — wchodzi do produkcji „Żuk” A 03 (z metalowym nadwoziem typu pick — up, o nośności 0,9 tony), by w następnych latach stać się jedynym produkowanym w fabryce samochodem. Prace konstrukcyjne i technologiczne nad uruchomieniem nowej produkcji trwały — uwzględniając brak doświadczenia i tradycji zawodowych — tylko o dwa lata.

Zapytałem o nazwę samochodu. „Lublin” to wiadomo — bo z Lublina. Ale dlaczego „Żuk”? Okazało się, że... właściwie nie wiadomo dlaczego. Może to od nazwy przyczepy produkowanej przed wieloma laty („Biedronka”). Gwarancji tzw. stu-procentowej nikt jednak nie chciał dać. Dowiedziałem się za to, że umieszczony na masce każdego „Żuka” emblemat firmowy, ów znany w całym kraju „koziolatek” pochodzi z herbu miasta, w którym fabryka się znajduje. I tu ciekawostka: samochody wysyłane z FSC na eksport nie mogą być opatrywane tym „koziółkiem”. Po prostu dlatego, że na światowym rynku sprzedaje swoje wyroby koncern, który ma podobny znak firmowy i właśnie on zażył sobie, by — nawet emblematem — nie robić konkurencji.

Skoro już o eksporcie mowa, to aż trudno uwierzyć, że lubelskiego „Żuka” można spotkać na drogach... trzydziestu jeden krajów świata. Związek Radziecki, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Kuba, NRD, CSRS, Jugosławia, Albania, Belgia, Dania, Szwecja, Finlandia, Turcja,

się do wysłania 5-tysięcznego „Żuka” do NRD.

Właściwie każde życzenie odbiorców zagranicznych jest spełniane. Np. do NRD wysłano nie tak dawno dużą partię samochodów... w jednym kolorze. Chodziło prawdopodobnie o utworzenie jakiejś wyspecjalizowanej służby w tym kraju. Z kolei państwa tropikalne proszą o dodatkowe chłodzenie kabiny, a znów inni — z zimniejszych regionów — o zamontowanie dodatkowego ogrzewania.

JAK ZMIENIAŁ SIĘ „ŻUK”?

Laikom wydawać się może, że produkowany w Lublinie od kilkunastu lat „Żuk” nie zmienił się w ogóle, że jest taki sam jak pierwszy egzemplarz. Śmieją się, że nie zmieniło się nic w sylwetce, ot, najwyższej jakości drobniaki w silniku. Nic bardziej błędnego: pierwsze „Żuki” (A 03) produkowane były jedynie do roku 1966. Wprowadzane w tym czasie zmiany obejmowały praktycznie wszystkie zespoły samochodu i rzeczywiście nie były widoczne dla oka. A jednak w tym czasie poprawiono skuteczność hamulców, funkcjonalność nadwozia, warunki jazdy, charakterystykę zawieszania itp. itd.

Dynamiczny rozwój transportu dostawczego i postępujący eksport warunkowały opracowanie nowych konstrukcji i uruchomienie produkcji nowych odmian furgonów uniwersalnych typu „A 05” i „A 06”. W modelach tych zabudowano przestrzeń ładunkową metalową obudową z drzwiami bocznymi i dwuskrzydłowymi drzwiami. Kolejna wersja to samochód gaśniczy („A 14”) przeznaczony początkowo dla odbiorcy egipskiego. „A 131” to tropikalna wersja dla Kolumbii. „A 09” i „A 11”, miały już inne, ulepszone silniki oraz pozbawioną wgnę błotnikowych podłogę, dzięki czemu można było przewozić ładunki o różnych gabarytach. „A 15” to zmodyfikowany, lekki wóz gaśniczy wyposażony w motopompę i inny sprzęt gaśniczy.

Najnowsze modele „Żuka” oznaczono symbolami: „A-07” — furgon przystosowany do przewozu pasażerów i ładunku, oraz „A 16 B” z przyczepą. Ten ostatni ma przedłużoną kabinę kierowcy o przedział dla czterech pasażerów. Dodatkowo przewidziano także hak holowniczy pozwalający na doczepienie jednoosiowej przyczepy. Szczególne zastosowanie znajduje ten model w transportie brygad roboczych łącznie z sprzętem oraz w zakładach świadczących usługi dla ludności — zwłaszcza na wsi.

przyjętych zobowiązań nie trzeba chyba nikomu nie mówić, cnotą z tą rytmicznością różnie to bywa. Rzadko, ale zdarza się i tak, że czegoś tam nie dostarczą we właściwym momencie i zagraża to zatrzymaniem taśmy produkcyjnej. Wtedy natychmiast przestawia się asortyment na inny, ratując w ten sposób przed przymusowymi postojami.

Żaden z zakładów, żaden wytwórca nie chce mówić o reklamacjach swoich wyrobów — w końcu nie ma się czym chwalić. Moją rozmową z FSC nie ukrywają, że reklamacje są, jednak zaraz dodają, że liczba ta stale maleje. Na pytanie: czy zdarzają się zwroty całych samochodów — otrzymuję odpowiedź że i tak bywa. Kilka razy w roku. Najczęściej jednak dlatego, że któraś ze stacji serwisowych na terenie kraju nie dotrzymuje 14-dniowego terminu naprawy. Wówczas — jak wynika z gwarancji — niesprawny pojazd może być zwrócony do producenta.

Specjalnie powołana w FSC Służba Sterowania Jakością zajmuje się m. in. zbieraniem opinii użytkowników produkowanego w Lublinie samochodu. I chyba nie jest tak źle, skoro w jubileuszowym — bo 25 roku — istnienia zakładu (1976) nazorganizowanym Zlocie Starych „Żuków” przyjechały do Lublina egzemplarze wyprodukowane jeszcze w roku 1951! Niemożliwe? A jednak prawdziwe. Np. kierowca Spółdzielni Transportowej ze Szczecina przejechał blisko ćwierć miliona kilometrów bez naprawy głównej. Ma w tych rekordach udział i region łódzki: Romuald Traut ze Skierniewic nadal eksploatuje „Żuka” z roku 1959, w którym ponad 90 proc. części nie było nigdy wymienianych.

Reklamacji byłoby jeszcze mniej, gdyby operatywniej działał „Polmozyt”. Bo właśnie to przedsiębiorstwo przyjmuje samochody po opuszczeniu terenu FSC. W Stacjach Obsługi mechaniki idą najczęściej po najmniejszej linii oporu, np. zamiast wymienić zawieszony szczołki w prężności — wymienia się cały zespół, co wprawdzie podbudowuje plan wykonywanych napraw, ale jednocześnie sztucznie zawyża tzw. wskaźnik usterkowości.

We wspomnianym wyżej zlocie uczestniczyło kilkudziesięciu kierowców. Już teraz wiadomo, że z okazji XXX-lecia zakładu odbędzie się podobna impreza. Napływają już zgłoszenia, ale — uwaga — organizatorów nie interesują pojazdy, które bez awarii przejechały... 150 tys. km! Po prostu jest ich zbyt wiele...

Tak doskonałe wyniki (FSC m. in. 14 razy otrzymała Sztandar Prze-

OPINIE

Przed wyjazdem do Lublina — nie znając jeszcze wyniku mojej reporterskiej wyprawy — postanowiłem porozmawiać z użytkownikami „Żuków”. Postanowiłem zasięgnąć opinii w Stacji Obsługi w Zgierzu, gdzie remontuje się m. in. „Żuki”. Może i źle zrobiłem nie mówiąc o tym w Lublinie, ale ciekawy byłem, czy producenci wie o słabszych punktach swojego wyrobu. Oto zestawienie uwag kierownika Stacji i pracowników z FSC:

Kierownik: — słaba blacharka, złe zabezpieczenie antykorozyjne, odpadanie lakieru.

FSC: — fabryczna lakiernia to jeszcze prowizorka, ale niedługo będzie lepiej, ma na to wpływ także niska jakość dostarczanych farb i lakierów.

Kierownik: — niezbyt trwałe zawieszanie.

FSC: — w opracowaniu nowy rodzaj amortyzatorów.

Kierownik: — kłopoty ze skrzynią biegów.

FSC: — skrzynię biegów w dalszym ciągu modernizujemy.

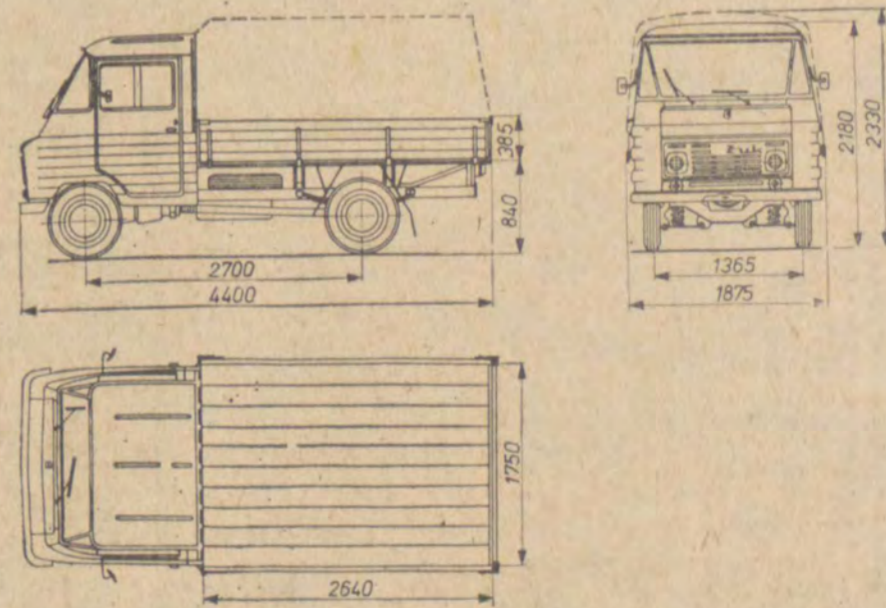
Kierownik: — brak zabezpieczenia biegu wstecznego (mało wprawiony kierowca może z „jedynki” czasami wrzucić „wsteczny”).

FSC: — jak wyżej.

Kierownik: — komplikacje z układem hamulcowym, szybkie zużycie nie się zaworków sterujących, umieszczenie całego mechanizmu pod samochodem naraża go na błoto i kurz.

FSC: — zmiany w opracowaniu.

We wspomnianej stacji dowiedziałem się również, że są kłopoty z ręcznym hamulcem (brak skutecznego smarowania link sterujących oraz... ich brak w handlu), częste luzy w układzie kierowniczym oraz blokowanie kół tylnego mostu podczas jazdy. Pracownicy stacji dodali zaraz, że większość awarii powodowana jest niewłaściwą eksploatacją wozu, złymi warunkami jazdy oraz brakiem konserwacji i małe umie-



RYMWID M. KONONOWICZ

CZESANIE ŁYSEGO

Zapomniał się uczesać lysek
stary zbuntowany przeciwko własnej bezsilności
która silniejsza jest od fizycznej odporności
na ciężenie ciała i innych rzeczy
Dlatego przysiadły jego myśli wzlotne
ponad legendy przysłowia czekanie
To współczesny lotnik oblatywacz
żeglarz po własnej niedoskonalości
Ikar — samobójca własnego losu.

Zapomniał się poczesać lysek
choćby machnąć po ciemieniu jedną ręką
druga ręka w kieszeni
pustej jak lombardy w czasach dobrobytu
To było niedaleko od prohibicji
własnych przemysłów sprzedawanych potajemnie
na lyki na krople goryczy
nie na kieliszki potrzeb.

Więc upij się lysis koniu Apokalipsy
donkiszotowa zastraszona szkapo
dźwigająca ciężar rozmyślań
o walce z wiatrakami.

Zapomniał się uczesać lysek
zapomniał być elegancki na czarną godzinę
że — tylko głową sięgnąć pod ostrze
Niestety zламаł go ostatni atak serca
umarł w przeddzień egzekucji na szafocie

Jego wiecznemu życiu nie zagraża
żadne niebezpieczeństwo
w górę głowy!

ZBIGNIEW ŻOŁNIERCZYK

MOJA CODZIENNA ŚMIERĆ

powoli
w szklance przestaje musować
niedopity dzień

czteropalcista dłoń nocy
na gardle się
zaciska

jej zimny oddech
osiada na karku

splywa do pięt

odbija się

do ziemi płaszcz długi
zakłada

zamyka się nade mną
trumienne wieko
ciemności

TEN WIERSZ TYLKO DLA CIEBIE

od warg do warg
wędruje
urwiskiem twego ciała

nie zagojoną raną

i
sępy dłonie
wypatrując żeru

kołują

ich nagie zimne szyje
wylupiały oczy
i
bezlitosny bezruch skrzydeł

gubią
cień

w ciał naszych czarnoziem
jałowy
niedosytem

Ja zabrałem szpitalną koszulę. Nie o to chodzi. Drugiego dnia
zrobiłem sobie zastrzyk, ożyłem i powróciłem do doktora N. Po-
witał mnie ze współczuciem, ale poprzez to współczucie przebi-
ła pogarda. Niepotrzebnie. Przecież jest psychiatrą i powinien
wiedzieć, że ja nie zawsze panuję nad sobą. Jestem chory. Za
co mną pogardza? Przecież oddałem szpitalną koszulę.

Lekarz powiedział:
— Dziękuję — i dodał: Co pan zamierza dalej robić?
Odpowiedziałem odważnie (byłem wówczas w stanie euforii):
— Postanowiłem wrócić do swej gluszy, tym bardziej, że skoń-
czył się mój urlop. Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc,
czuję się o wiele lepiej. Będę kontynuował leczenie u siebie.

Odpowiedział mi w ten sposób:
— Pan w ogóle nie czuje się lepiej. Śmieszne, doprawdy, że mi
pan to mówi. Przecież wystarczy popatrzeć na pańskie źrenice.
No, komu pan chce to wmówić?...

— Nie mogę tak od razu się odzwyczaić, profesorze... szczegól-
nie teraz, kiedy te wszystkie wydarzenia... mnie bardzo roztrząsa
strzelanina...

— Już minęła. Jest nowa władza. Niech pan się kładzie z po-
wrotem.

Tu wspominałem wszystko... zimne korytarze... puste, pomalo-
wane na olejno ściany... a ja pełną, jak pies z przebitą łapą...
czekam na coś... Na co? Na gorącą kąpiel?... Na zastrzyk... Na
dawkę, od której się nie umiera... a tylko... a wszystkie tęsknoty
leżą brzemieniem, jak leżały... Puste noce, koszula, którą podar-
łem na strzępy błagając, aby mnie wypuścili?...

Nie. Nie. Pokręciłem przecząco głową. Wiedzy on się uniósł, a
ja ze strachem pobiegłem do drzwi. Wydawało mi się, że on
chce zamknąć drzwi i siłą zatrzymać mnie w klinice.

Profesor spał.
— Nie jestem stróżem więziennym — z rozdrażnieniem przemó-
wił. — Niech pan siedzi spokojnie. Chwalił się pan dwa tygodnie
temu, że jest pan absolutnie normalny. A teraz... powtórzył mój
bojaźliwy gest — ja pana nie zatrzymuję.

— Panie profesorze, proszę mi oddać moje zobowiązanie. Bła-
gam — i mój głos żałośnie się zalał.

— Proszę.
On szczęknął w biurku kluczem i podał mi moje zobowiązanie
(o tym, że zgadzam się na całą dwumiesięczną kurację i że mogą
zatrzymać mnie w klinice siłą itd., czyli to, co się zazwyczaj pod-
pisuje).

— Dziękuję panu.
Następnie wstałem, aby wyjść. I wyszedłem.

— Doktorze Polakow! — rozległo się za mną. Odwróciłem się
z ręką na kłamec. — Otóż — zaczął profesor — niech się pan
zastanowi. Niech pan zrozumie, że i tak pan trafi do psychia-
trycznego, no, trochę później... I będzie pan w o wiele bardziej o-
plakany stan. Ja z panem postępowałem mimo wszystko jak z
lekarzem. A później pan wróci w stan absolutnej psychicznej
ruiny. Pan, mój drogi, nie powinien już praktykować i z mojej
strony będzie wykroczeniem nie uprzedzić o tym w pańskim
miejscu pracy.

Drgnąłem czując, jak krew odpływa mi z twarzy.

— Ja — wyrzekłem głuchym głosem — błagam pana, profesorze, nie
nikomu nie mówić... wydała mnie z pracy... Okrzyknął mnie chym-
... Dlaczego chce mnie pan tak skrzywdzić?

— Niech pan idzie — z niesmakiem krzyknął on — niech pan
idzie. Nic nie będę mówił. I tak pan tu powróci...

Poszedłem. I całą drogę, przysięgam, drżałem z bólu i wsty-
du... Dlaczego?...

Bardzo proste. Rzecz nie w koszuli, a w tym, że w klinice u-
kradłem morfinę. 3 kostki w kryształkach i 10 gramów jedno-
procentowego roztworu.

Mnie interesuje jeszcze jedno. W szafce był klucz. No, a jeśli
by go nie było? Czy włamałbym się do szafy? Czy nie? Co?

No tak, doktorze Polakow. Tę stronice i tak zdążył wyrwać.
Jeśli chodzi o praktykę, to on mimo wszystko przesadził. Tak,
jestem degeneratem. Oczywiście prawda. Zaczął się u mnie roz-
kład moralny. Ale pracować mogę i żadnemu ze swoich pacjen-
tów nie wyrządę krzywdy.

A w końcu cóż to za rozkład? Według mnie moje wszystkie sądy
są absolutnie prawidłowe.

Morfina posiada jedną ogromną zaletę, którego nikt mu
nie jest w stanie odebrać — jest to możliwość spędzenia życia w
zupelnej samotności. A samotność — to głębokie, ważne myśli,
to dostojność, spokój, mądrość...

Płoń, ogniu mej lampy, płoń cicho, chcę odpocząć po mo-
skiewskich okropnościach, chcę o nich zapomnieć.

I zapomniałem.
Zapomniałem.

18 listopada.
Przymrozki. Sucho. Wyszędłem przejść się w stronę rzeczki,
gdzdy prawie nie wychodzę na świeże powietrze.

Rozpad moralny rozpadem moralnym, robię jednakże próby
uniknięcia tego...

Tak... Tak... więc... kiedy było już źle, postanowiłem mimo wszy-
stko (niechaj będzie ze mną zadowolony profesor N) oddalić czas
zastrzyku i skierowałem się ku rzeczce.

Jeszcze nie zmierzcha, no mrok przychający pełnią po błotach,
po kępach, wśród pnii...

Pełnie, pełnie w stronę szpitala... I ja pełną podpierając się
laską (prawdę mówiąc, jestem nieco osłabiony ostatnimi czasami).

I nagle widzę, że od rzeczki po zboczku pędzi do mnie szybko
nie przebiegając nóżkami pod swą pstrą szerokością spódnicą —
staruszczyka z żółtymi włosami. W pierwszej chwili nie nie roz-
zumiem ani się i nie przestraszyłem. Staruszczyka jest to staruszka.

Dziwne tylko dlaczego znalazła się na pagórku prostowłosa
staruszczyka w koszulinie?... A później: skąd się wzięła staruszczyka?
Kto ona? Kiedy skończyła się u nas w Lewkowie wizyty i ostatnie
sanie odjadą spod szpitala, to na dziesięć wiorst wokół nikogo się
nie spotka. Tylko mgły, błota, lasy. I nagle zimny pot oblał mi
plecy — zrozumiałem! Staruszczyka nie błęgnie, a leci nie dotykając
ziemi. Prawda? Ale nie dlatego zacząłem krzyżeć, a dlatego,
że ona miała w rękach widły. Dlaczego tak się przeraziłem?

Dlaczego? Upadłem na jedno kolano wyciągając ręce, zakryłem
oczy, żeby jej nie widzieć, później odwróciłem się i kuśtykając
zaczęłem biec w stronę domu, jak do miejsca zbawienia, nicze-
go bardziej nie pragnąc ponad to, żeby serce przestało mi się
urywać, żebym jak najszybciej schronił się w ciepłych pokojach,
zobaczył żywą Annę i morfinę.

I dobiegłem.
Idiotyzm. Głupia halucynacja. Przypadkowa halucynacja.

19 listopada.
Torsje. Bardzo niedobre.
Moja nocna rozmowa z Anną 21.

Anna. — Felczer wie.
Ja. — Niemożliwie? Głupstwo. Wszystko jedno.

Anna. — Jeśli nie zdecydujesz się pojechać do miasta... Sły-
szysz? Popatrz na swojej ręce, tylko popatrz.

Ja. — Trochę drżą. Lecz to nie ma absolutnie żadnego wpływu
na mą pracę.

Anna. — Popatrz. One są przeźroczyste. Sama skóra i kości.
Popatrz na swą twarz... Słuchaj, Sierioża. Jedź, błagam cię,
jedź.

Ja. — A ty?
Anna. — Uciekaj, jedź, ty zginiesz.

Ja. — No, zbyt mocno powiedziane. Ale rzeczywiście, sam nie
rozumiem, dlaczego tak szybko się wykończyłem? Jeszcze nie ma
roku, gdy zachorowałem.

Anna (smutno). — Co cię może powrócić do życia? Może ta
twoja żona — Amnierz?

Ja. — Och nie, uspokój się.
Anna. Ach, ty, Boże, co ja mam robić?

Sądziłem, że tylko w powieściach bywają takie kobiety jak
Anna. I jeżeli kiedykolwiek poczuje się lepiej, na zawsze złączy
z nią swój los.

27 grudnia.
Dawno nie brałem zeszytu do rąk. Jestem ciepło opatulony,
konie czekają. Bomgard wyjechał z placówki w Gorielowskim
i mnie przenoszą na jego miejsce. A tu na moje miejsce przy-
chodzi kobieta — lekarz.

Anna pozostaje... Będzie do mnie przyjeżdżać. Choćby i 30
wiorst.

Michał Bułhakow

MORFINA

tłum.
Ewa T. Gadzinowska

(Dokończenie z poprzednich numerów)

Postanowiłem twardo, że 1 stycznia wezmę miesięczny urlop
chorobowy i pojadę do profesora, do kliniki w Moskwie. Znowu
podpiszę zobowiązanie na miesiąc i będę u niego cierpieć nie-
ludzkie katusze.

Zegnaj, Lewkowo, Anno, do widzenia.
1918 rok.
Styczeń.

Nie pojechałem. Nie mogę się rozstać z moim bożkiem zakłę-
tym w rozpuszczających się kryształkach.

W czasie leczenia zginałbym
I coraz częściej i częściej nadchodzi mnie myśl, że leczyć się
nie mam już potrzeby...

16 stycznia.
Dzień operacyjny. Dlatego konieczna wstrzeźliwość — od
nocy do godziny 6 wieczorem.

O zmierzchu — w najokropniejszy czas — już i w pokoju sły-
szalem głos monotony, wyraźny i groźny, który powtarzał:
— Siergieju Wasiliewiczu, Siergieju Wasiliewiczu.

Po zastrzyku od razu wszystko się uspokoiło.
17 stycznia.

Zawierucha. Przyjęć nie ma. Czytałem w czasie przerwy pod-
ręcznik psychiatrii, który wywarł na mnie wstrząsające wrażenie.
Zginałem, nie ma już nadziei...

Tutaj muszę być bardzo ostrożny — ze mną jest felczer i dwie
akuszerki. Trzeba być bardzo uważnym, żeby się nie wydało.
Stałem się bardzo uważny, i nie zdradzę się niczym. Nikt nie wie
wie, dopóki mam zapas morfiny. Roztwory przygotowuję sam
albo wcześniej posyłam receptę Annie. Jednego razu próbowała
(głupio) zamienić pięcioprocentowy dwuprocentowym. Sama go
przywoziła do Lewkowa w zamieć i zimnicę.

Z tego powodu była między nami nocą ostra kłótnia. Przestrze-
głem, by więcej tego nie robiła. Tutejszy personel poinformo-
wałem, że jestem chory. Długo łamałem sobie głowę, jaką cho-
robę wymyślić. Powiedziałem, że mam reumatyzm nóg i ciężką
nerwicę. Są uprzedzeni, że w lutym jadę do Moskwy leczyć się.

Sprawy idą gładko. W pracy żadnych starć. Unikam operacji w
te dni, kiedy zaczynają się u mnie nie do opanowania wymioty z
czkawką. Dlatego dodałem sobie jeszcze i katar żołądka.

Tutejszy personel jest pełen współczucia i sami mnie już wy-
ganają na urlop.

* * *

Wygląd zewnętrzny: chudy, bladej woskową bladeścią.
Brałem kąpiel i przy okazji zważyłem się. W zeszłym roku wa-
żyłem 4 pudy, teraz 3 pudy 15 funtów. Wystraszyłem się patrząc
na strzałkę, ale później strach minął.

Na przedramieniu mam nie kończące się wrzody, to samo na
biodrach. Nie potrafię sterylizować roztworu, a prócz
tego trzy razy zrobiłem sobie zastrzyki niewygotowaną strzykaw-
ką — bardzo spieszyłem się przed wyjazdem.

Jest to niedopuszczalne.
18 stycznia.

Miałem takie halucynacje:
Czekam, aż w czarnym oknie pojawią się bladej ludzkie. To nie
do wytrzymania. Tylko jedna stora. Wziąłem ze szpitala gazę i
zawiesiłem ją. Nie potrafiłem wymyślić pretekstu.

A niech to diabli! Z jakiego to powodu dla każdego swego
kroku mam wymyślać preteksty? Przecież w końcu to jest męka,
a nie życie.

Czy jasno i wyraźnie wyrażam swoje myśli?
Według mnie — tak.

1 lutego.
Anna przyjechała. Ma żółtą twarz, jest chora. Wykończyłem
ją. Tak, wielki grzech ciąży na moim sumieniu.

Przyśiągłem, że wyjadę w połowie lutego.
Czy spełnię przysięgę?

Tak, spełnię.
I, j. będę żyć.

3 lutego.
Oto górka. Lodowa i bezkresna jak ta, z której w dzieciństwie
bajkowego Kaja unosili sanie. Ostani mój lot z tej górki i ja
wiem, co mnie czeka na dole. Ach, Anna, będziesz cierpieć, jeśli
mnie kochałaś...

11 lutego.
Postanowiłem zwrócić się o pomoc do Bomgarda. Dlaczego aku-
rat do niego? Dlatego, że nie jest psychiatrą, jest młody, i że
to kolega z uniwersytetu. On zdrowy, silny, ale łagodny, jeśli
mam rację, jeśli go pamiętam. A może, on nad... ja w nim znajdę
współczucie. On coś wymyśli. Niech mnie odwiezie do Moskwy.
Ja nie mogę do niego jechać. Urlop już mam. Leżę. Do szpitala
nie chodzę.

Przedtem, nim napisałem do Bomgarda, zacząłem wszystko
wspominać. Szczególnie ostro zobaczyłem dworzec w Moskwie w
listopadzie, kiedy uciekłem z kliniki. Jest straszny wieczór. Kra-
dzioną morfinę wstrzykiwałem sobie w ubikacji... To męka. Do
drzwi walli, krzycheł, że tak długo zajmuję miejsce, tylko pa-
trząc, jak wylamują drzwi...

Od tego czasu mam czyraki.
Plakałem w nocy, gdy to wspominałem.

12 nocy.
Znowu plakałem. Skąd ta słabość i obrzydzenie przychodzące
nocą?

1918 rok 13 lutego o świcie w Gorielowskim.
Mogę sobie pogratulować — jestem bez zastrzyku już 14 godzin.

14! To nieprawdopodobna cyfra! Teraz już będę zupełnie zdrowy.
Po dokładnym przemyśleniu: Bomgrad nie jest mi potrzebny.
Hańba byłoby jeszcze przez chwilę ciągnąć swe życie. Takie
życie.

Lekarstwo mam pod ręką. Dlaczego wcześniej się tego nie do-
myśliłem?

No, zaczynamy. Nic nikomu nie jestem winien. Zniszczyłem
tylko siebie. I Annę. Cóż mogę na to poradzić?

Czas leczy, jak śpiewała Amnierz.
Zeszyt dla Bomgarda. To wszystko...?

KONRAD FREJDLICh

WARIACKIE PAPIERY

Bohater tej opowieści ma lat 47, jest kawalerem i mógłby za Robertem Jungkiem powiedzieć:

„Żyjemy w czasach, w których dobroć uchodzi za naiwność, uczciwość za głupotę, współczucie za słabość, a miłość bliźniego za szaleństwo. Cnoty zachowują swoją cenę jeszcze tylko w oficjalnych wystąpieniach, w praktyce codziennego życia nikt ich nie traktuje poważnie.”

Jerzy F., z zawodu nauczyciel, z powołania poeta, otrzymał wbrew swojej woli rentę inwalidzką II grupy o nr. 232994 i zaocznie wariackie papiery, które zamykają mu drogę powrotu do zawodu. Nie mogąc się z tym pogodzić już czwarty rok toczy nierówną walkę z urzędami, które uważają że skoro facet ma co jeść, gdzie mieszkać, a do tego nie musi pracować i jeszcze mu za to płacą, to Bogu powinien dziękować, a nie pisać skargi do coraz wyższych instancji.

1.

W sierpniowym zeszycie „Miesięcznika Literackiego” z roku 1972 ukazał się wiersz Jerzego F. pt. „Realizm”:

„Wydzielenie z uroków mirażu dla niektórych jest realizmem. Wydzielenie chleb i szeląg wystarczą na głód i bliźnę.

Wydzielenie potrafią bez leku krew i ropę nieść na bandażu. Uznają obraz i szczegóły ostry jak pazur”

Ten wiersz, przesiąknięty gorzką mądrością, autor często sobie teraz powtarza, bo było w tych strofach jakby przeczuć tego, co już w rok później miało nadejść z najmniej oczekiwanej strony. Szkoła, w której Jerzy F. pracował, ja-

ko nauczyciel historii i prope-
deutyki nauki o społeczeństwie,
X Liceum Ogólnokształcące im.
Marii Konopnickiej w Łodzi,
przy al. Kościuszki 65, de-
cyzją władz oświatowych uleg-
ła likwidacji. Wiadomo zaś, że
historyków nie szuka się w
szkolnictwie ze świecą w rękę,
że nawet często pracować mu-
szą poza swoją specjalnością.
Skorzystano więc z okazji, że
Jerzy F. przebywał na zwolnie-
niu chorobowym i skierowa-
no go na komisję lekarską do
spraw inwalidztwa i zatrud-
nienia. Pracodawca, a więc Ku-
ratorium Okręgu Szkolnego,
nie spodziewało się chyba na-
wet, że od tej chwili troska o
zabezpieczenie materialne Je-
rzeo F. spadnie na Zakład U-
bezpieczeń Społecznych. Tym-
czasem Obwodowa Komisja
Lekarska Nr 1 uznała Jerzego
F. za całkowicie niezdolnego
do pracy i zakwalifikowała do
II grupy inwalidzkiej.

Najbardziej tym obrotem
sprawy zdumiony był Jerzy F.
zwłaszcza, gdy się dowiedział,
że w komisji zasiadali głównie
psychiatry, którzy rozpoznali
u niego schizofrenię. Musieli
być to tędy lekarze, skoro
wystarczyło im kilka minut do
postawienia diagnozy, na którą
inni, z profesorskimi tytułami,
potrzebują tygodni obserwacji
i dodatkowych badań labora-
toryjnych, radiologicznych, elek-
troencefalograficznych. Leka-
rze ci, dla dobra pacjenta wi-
docznie, nie poinformowali go
o swym rozpoznaniu. W usa-
sadnieniu orzeczenia piękną
polszczyzną zostało tylko napi-
sane:

„W wyniku badania lekarskie-
go stwierdzone schorzenia zali-
czają całkowicie niezdolnego
do pracy”.

Przeżony tak kategorycz-
nym orzeczeniem Jerzy F., któ-
ry poza tym czuł się nieźle,
tak na ciele jak i na duszy,
chciał przynajmniej wejść do
akt, aby ustalić, co mu wła-
ściwie dolega. Okazało się to
niemożliwe i z kartą inwalidz-
ką Jerzego F. zapoznał się do-
piero wynajęty przez niego ad-
wokat. Kiedy bomba pękła i
Jerzy F. dowiedział się, że
jest... schizofrenikiem podjął
nierówną walkę, która z prze-
zerwami, trwa do tej chwili.

2.

Magister Karol Wierucki,
dyrektor zlikwidowanego lice-
um, w opinii wydanej na
prośbę Jerzego F. stwierdził o
swym podwładnym:

„wyróżniał się znaczną zna-
nością wiedzy rzeczowej, o-
gólnym ocytaniem w zakresie
swoich specjalności. Stosunek
do młodzieży wykazywał po-
prawny — bezkonfliktowy.
Pracę i postępy uczniów oce-
niał właściwie i sprawiedli-
wie”.

Niechże nas nie zwiedzie ten
czas przeszły: „wyróżniał się”,
„oceniał”. W momencie wysta-
wiania tej opinii Jerzy F. nie
prowadził już wprawdzie zajęć
dydaktycznych z młodzieżą, ale
był wciąż jeszcze pracowni-
kiem szkolnictwa. Mimo wielo-
miesięcznego zwolnienia le-
karskiego, a nawet orzeczenia
o II grupie inwalidztwa umo-
wa o pracę nie została rozwią-
zana. Jerzy F. odwołał się od
decyzji obwodowej komisji le-
karskiej nr 1 do wojewódzkiej
komisji lekarskiej nr 3. W
pierwszej chwili uzyskał na-
wet korzystne dla siebie roz-
wiązanie: komisja nr 3, za-
miast raz na zawsze wypowie-
dzić się o umysłowych kwali-

fikacjach Jerzego F., uznała go
za czasowo tylko niezdolnego
do pracy: cierpiał w tym cza-
sie na przepuklinę, dawało
znac o sobie serce, także prze-
wód pokarmowy miał w nie
najlepszym stanie. Kiedy jed-
nak, na skutek dwunastomie-
sięcznej absencji, umowa o
pracę uległa rozwiązaniu, komi-
sja nr 3 zatwierdziła nieja-
ko orzeczenie komisji nr 1 u-
znając Jerzego F. całkowicie
niezdolnym do pracy. Decydu-
jący głos miał znowu nie in-
ternista czy neurolog, tylko
psychiatra. Jerzy F. nazwie
nawet orzeczenie komisji an-
tyhum nitarnym i znieważają-
cym.

— Zamiast lekarskiego usa-
sadnienia trwałego inwalidz-
twa z numerem statystycznym
choroby wpisano mi zakaz
pracy — doda. — Adwokat,
który przeglądał akta, bo Za-
kład Ubezpieczeń Społecznych
znowu robił mi trudności w
zapoznaniu się z dokumenta-
cją, stwierdził, że komisja nie
odnotowała przepukliny, uby-
tku słuchu i choroby serca.

10 grudnia 1974 roku Jerzy
F. pisze więc skargę do Za-
kładu Ubezpieczeń Społecznych.
Z odpowiedzi dowiedział się,
że ma prawo zaskarżyć decy-
zję o swym inwalidztwie w
Okręgowym Sądzie Ubezpie-
czeń Społecznych w Łodzi. By-
ła to informacja tylko części-
owo prawdziwa. Każdy obywa-
tel ma niewątpliwie prawo za-
skarżyć do sądu krzywdzącą
go decyzję, ale w tym kon-
kretnym wypadku sąd był a-
kurat najmniej kompetentny,
gdyż Jerzy F. nie kwestiono-
wał wysokości świadczenia
rentowego, tylko orzeczenie le-
karskie, które stało się jego
podstawą.

Mimo to sprawie został na-
dany bieg i przez blisko rok
toczyła się w Okręgowym Sa-
dzie Pracy i Ubezpieczeń Spo-
łecznych w Łodzi z powództwa
Jerzego F. przeciwko Zakładowi
Ubezpieczeń Społecznych. Skar-
żący domagał się ustale-
nia, że jest zdolny do pracy.
W toku postępowania dwukrot-
nie przedstawiał zaświadcze-
nia lekarskie, które jednorazo-
wym badaniem (jednorazowe
badanie wystarczyło komisji
lekarskiej nr 1 do wydania o-
rzeczenia, które przekreśliło
całe życie Jerzego F.) potwier-
dziło brak objawów choroby
psychicznej. Łódzki sąd utrzy-
mał orzeczenie lekarzy w mo-
cy zatwierdzając decyzję ZUS
o trwałej niezdolności Jerzego
F. do pracy na skutek „schizo-
frenii urojeniowej”.

Jerzy F. w dalszym ciągu
nie dał za wygraną, zaskarżył
wyrok sądu łódzkiego do wyż-
szej instancji. Był nią Okręgo-
wy Sąd Pracy i Ubezpieczeń
Społecznych. W międzyczasie
uzupełnia dokumenty, które
mają potwierdzić jego zdrowie
psychiczne. Zdobywa szereg o-
rzeczeń lekarskich całkowicie
sprzecznych z opinią członków
wojewódzkiej komisji leka-
rskiej nr 1 w Łodzi. Wypowia-
dają się psychiatryczne sławy.

Prof. dr med. Kazimierz Da-
browski:

„U badanego nie stwierdzam
żadnych objawów zaburzeń
psychicznych... Jest człowie-
kiem inteligentnym, o charak-
terze i postawie społecznej nie
nastęrczającej zastrzeżeń.
Przejawia wzmoczoną pobudli-
wość psychiczną, co jest, we-
dług mnie, cechą dodatnią. Ze
względu na cechy swojego
charakteru i inteligencję po-
winiem nadal pracować w szkol-
nictwie”.



Foto: Archiwum

Prof. dr med. dr fil. Tadeusz
Blikiewicz:

„Na podstawie szczegółowe-
go badania neurologiczno-psy-
chiatrycznego, po zapoznaniu
się z przedstawionymi aktami
sprawy w szczególności z orze-
czeniem Obwodowej Komisji
Lekarskiej do spraw inwalidz-
twa i zatrudnienia z dn. 19.
IX. 1973 roku, stwierdzam,
zgodnie z szeregami poświad-
czeń innych lekarzy, że ob-
mgr Jerzy F., l. 44, nie wykazu-
je żadnych zaburzeń, które
by mu uniemożliwiały lub u-
trudniały pracę zawodową pro-
fesoru Liceum w zakresie his-
torii. Młody ten pracownik jest
zdolny i doświadczony jako
pedagog i czuje się bardzo po-
krzywdzony przeniesieniem go
w stan spoczynku.

Krzywdzące jest w przytoczo-
nym orzeczeniu stwierdzenie,
że „wskazana jest praca w
warunkach chronionych”, gdyż
takie sformułowanie Komisji
sugeruje, że jest on psychicz-
nie niepełnowartościowy lub
zniedoświadczony, chociaż jako
stary psychiatr widzę w nim
człowieka wartościowego i zdol-
nego do pracy na dobrym po-
ziomiu zawodowym”.

Ale te opinie nie miały w
sprawie znaczenia bowiem Ok-
ręgowy Sąd Pracy i Ubezpie-
czeń Społecznych w Warsza-
wie na posiedzeniu jawnym
wydał 18 maja 1976 roku wy-
rok, którym zniósł postępowanie
przed Okręgowym Sądem
Pracy i Ubezpieczeń Społecz-
nych w Łodzi. Okazało się bo-
wiem, że instancja niższa roz-
poznawała sprawę nie leżącą w
jej kompetencji i wydała w
niej, co najdziwniejsze, wyrok
od początku, z mocy prawa,
nieważny, toteż sąd rewizyjny,
chcąc naprawić stan prawny,
musiał znieść postępowanie.

W ten sposób Jerzy F. po
poniesieniu kosztów adwokack-
kich, po licznych wizytach u
lekarzy i trwającym blisko rok
postępowaniu przed sądem
znowu znalazł się w punkcie
wyjścia: sam na sam z krzy-
wdzącą decyzją komisji leka-
rskiej uznającej go niezdolnym
do pracy.

3.

Mimo tylu smutnych do-
świadczeń Jerzy F. nie rezygnu-
je z walki. Gromadzi doku-
menty, robi odpisy orzeczeń,

studiuje przepisy prawne. Po
tylu zawodach nietrudno o
podejrzliwość: Jerzy F. staje
się nieufny, patrzy urzędni-
kom na ręce. Rozmawia z wi-
ceministrem Pracy, Plac i
Spraw Socjalnych i otrzymuje
zapewnienie, że jego sprawą
zostanie zainteresowany przez
Zakład Ubezpieczeń Społecz-
nych. Ale to, co zostaje załat-
wione na wyższym szczeblu,
jest wypaczone na niższym.
Mimo że Jerzy F. leczy się od
wielu lat w przychodni rejono-
wej nr 24 w Łodzi na prze-
wlekłą chorobę wieńcową ser-
ca dostaje ponowne wezwanie
na komisję... psychiatryczną.
Warszawski internista dr Ste-
fan Jachimowicz stwierdza u
Jerzego F. chorobę wieńcową z
objawami uszkodzenia lewej
komory serca zalecając mu
ograniczenie wysiłków i osz-
czedzający tryb życia — a łódz-
ki ZUS nęka swoją ofiarę ko-
lejną komisją psychiatryczną.
Szczególnie pikantnie nabiera
fakt, że swoją odmowę skiero-
wania Jerzego F. na komisję
lekarską ogólną ewentualnie
kardiologiczną Dział Orzeczeń
twa Inwalidzkiego ZUS usa-
dzał zniżeniem wyrokiem
sądu pracy i ubezpieczeń spo-
łecznych i instancji. Najwy-
rażniej ktoś tu czegoś nie roz-
umiał, tylko czemu na nieko-
rzyść skarżącego się Jerzego
F.?

Jerzy F. w dalszym ciągu
stara się dowiedzieć swojej
zdolności do pracy na drodze
prawnej. Występuje z rosze-
czeniem przeciwko ZUS do Sa-
du Wojewódzkiego w Łodzi, a
kiedy pozew został odrzucony
ze względu na niewłaściwość
rzeczową, pisze zażalenie do
Izby Cywilnej Sądu Najwyż-
szego. Sąd Najwyższy potwier-
dza słuszność decyzji Sądu
Wojewódzkiego. Mając więc
zamkniętą drogę postępowania
prawnego przed sądem pow-
szednym Jerzy F. szuka spra-
wiedliwości na drodze postę-
powania administracyjnego.

14 grudnia 1977 roku kieruje
do dyrektora Zakładu Ube-
pieczeń Społecznych oddział w
Łodzi skargę, w której domaga
się rozpatrzenia wcześniej
złożonych zażeń (z 10. XII.
1974 r. i z 3. XII. 1976 r.) Za-
rzucając w niej ZUS biurokra-
tyczne podejście do sprawy,
Jerzy F. stawia pod adresem
obwodowej komisji lekarskiej
nr 1 i wojewódzkiej komisji

lekarskiej nr 3 zarzut wyko-
rczenia zawodowego, a w szcze-
gólności obraży przepisów roz-
porządzenia Ministra Placy,
Prac i Spraw Socjalnych w
sprawie trybu postępowania i
zasad orzekania komisji leka-
rskich ZUS z 22. XII. 1972 r.
(Dz. U. nr 1 z 1973 r.).

Odpowiedź, jaką Jerzy F. o-
trzymał nie może zadowolić
ani zainteresowanego, ani każ-
dego, komu nie jest obojętne
przestrzeganie w Polsce prze-
pisów prawa. Chociaż sąd pracy
nie wypowiedział się na temat
prawidłowości orzeczeń komisji
lekarskich do spraw inwalidz-
twa i zatrudnienia Zakład U-
bezpieczeń Społecznych, oddział
w Łodzi, ustami swego dyrek-
tora Anieli Grodzkiej usiłuje
wzmocnić, że to sąd właśnie,
łącznie z Sądem Najwyższym,
potwierdził zasadność ich de-
cyzji. Na liczącą blisko trzy
strony maszynopisu, umotywo-
waną i popartą dokumentami
skargę Jerzy F. otrzymał z ur-
zędu świstek papieru mówią-
cy o czymś, co w ogóle nie
miało miejsca.

Czy można się dziwić, że w
liście do redakcji Jerzy F.
stwierdza z goryczą:

„Nadużywanie uprawnień
administracyjno - lekarskich
przez ZUS i brak ochrony do-
bra osobistego — zdolności u-
mysłowej, godności i prawa do
pracy — spowodowały nie ty-
lko moją degradację społeczną,
lecz jeszcze stanowią dowód
zaniku norm etycznych-praw-
nych. Podstawowy obowiązek
przestrzegania praw (art. 8 pkt.
2 Konstytucji PRL) ZUS prze-
kstał w prawo łaski”.

Smutna to sprawa zważyw-
szy właśnie na jej aspekt
etyczny. Ktoś, kto w pewnym
momencie popełnił błąd po-
chopnie oceniając walory umy-
słowe Jerzego F., nie potrafił
się do niego przynajmniej
coraz bardziej wśród przyna-
czeń, uników, a nawet zlej wo-
li, skoro zainteresowanemu od-
mawia się nagminnie wejrze-
nia do akt. Zdrowy człowiek,
który może i chce pracować,
pobiera wbrew swojej wol-
ności rentę inwalidzką stając się,
nie ze swej winy, utrzyman-
kiem społeczeństwa. Czy moż-
na się dziwić, że Jerzy F., au-
tor dwóch wydanych książek,
nie może się z tym pogodzić?

Ktoś tutaj w sprawie 232994
udaje wariata. Jestem pewien,
że to nie Jerzy F.

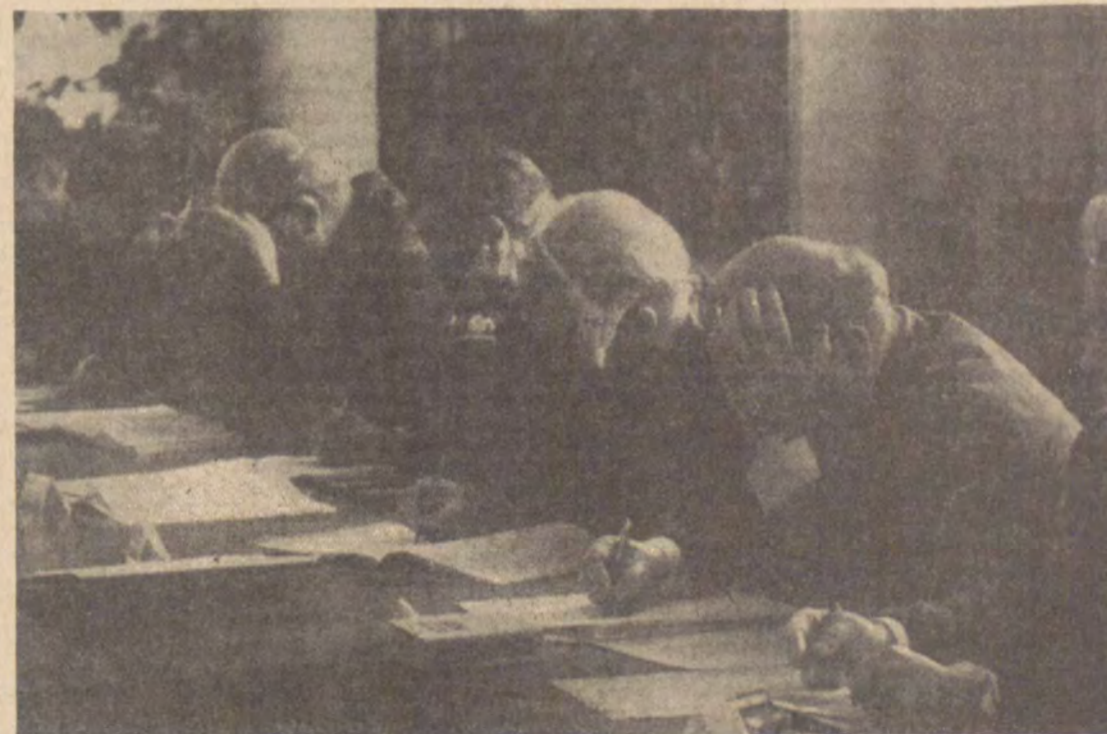


Foto: Archiwum

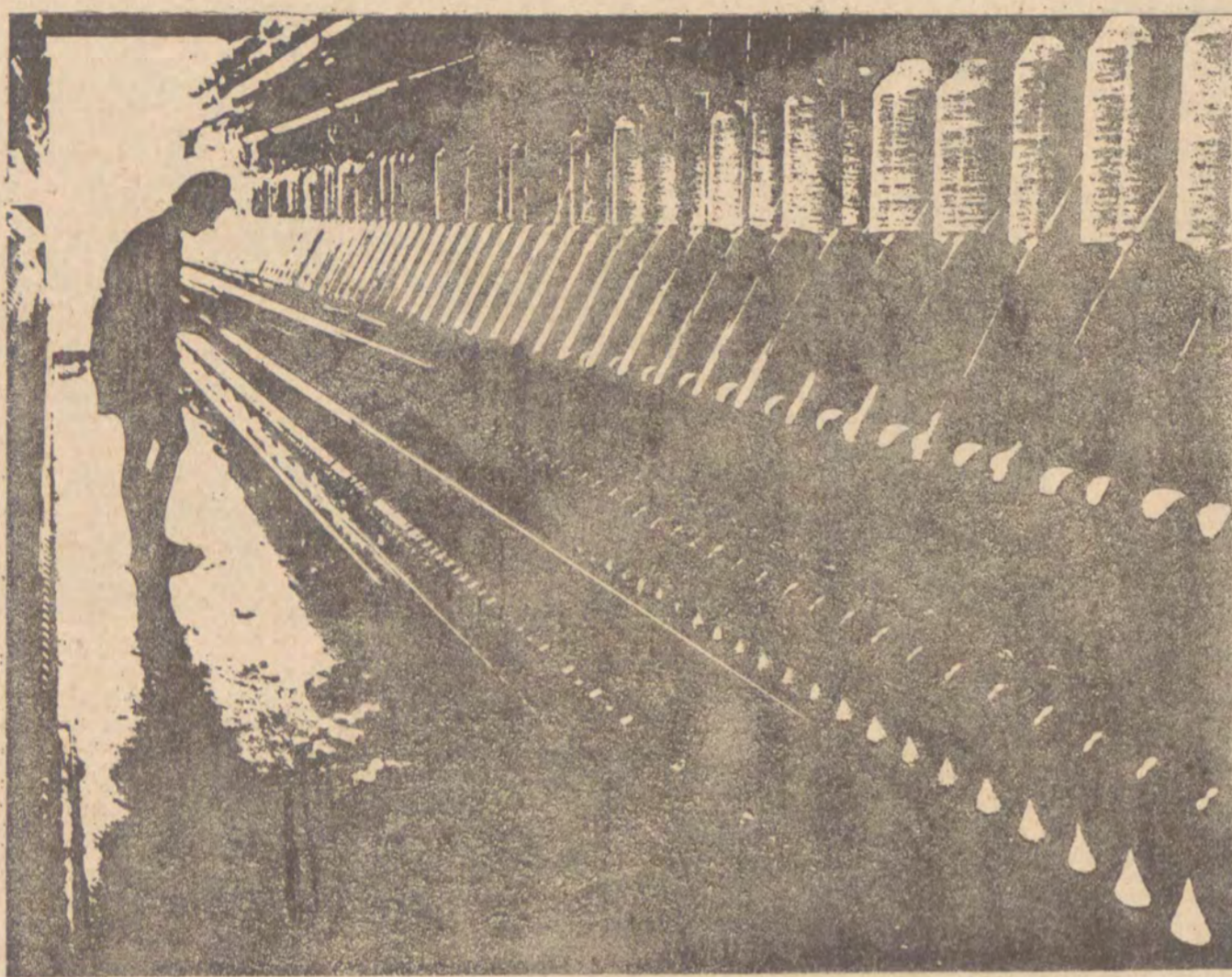


Foto: W. Malek

KIEDY PRZESZKADZAJĄ DROBIAZGI

Dalszy ciąg ze str. 1

J. Skretny: — W następnym etapie chcemy wśród samorządu powołać kilka zespołów problemowych na wzór jakby zespołów czy komisji sejmowych. Będą one zajmowały się określonymi problemami bardziej szczegółowo, w sposób ciągły, także między konferencjami.

Z. Adamczewski: — Taką akcję szkoleniową można by zacząć wiele lat wcześniej, ale do tego potrzebny był wzrost średniego poziomu wykształcenia, wzrost świadomości. Tak więc dopiero teraz okazało się to w pełni możliwe.

J. Kaczmarek: — Oprócz takich szkoleń i różnych form uaktywniania ludzi konieczna też jest dobra organizacja pracy nie tylko samorządu, ale wszystkich organizacji zakładowych współuczestniczących w gospodarowaniu. Dyskusja na zebraniach będzie wtedy, kiedy każdy pracownik będzie rzetelnie poinformowany o sprawach zakładu odpowiednio wcześniej, aby sprawy przemysłu i przystąpienia do zebrania.

Z. Adamczewski: — Tydzień lub dwa przed KSR wszyscy członkowie

otrzymują odpowiednio przygotowane materiały problemowe. Poza tym wydajemy comiesięczny „Biuletyn Informacyjny”, obejmujący zarówno ogół problemów politycznych, społecznych, ekonomicznych i innych, jak i wszystkie aktualne informacje ze wszystkich działów zakładu, o wszystkich żywotnych i istotnych dla nas sprawach.

T. Wasilewski: — Obecnie uruchamiamy też pełną parą radiowęzeł zakładowy, gdzie będzie także na bieżąco pełny serwis informacyjny, pogadanki, co pozwoli na jeszcze lepszą znajomość wszystkich zagadnień przez załogę.

J. Skretny: — Przy tym wszystkim faktycznie będzie możliwa współpraca, współdziałanie w gospodarowaniu, kontroli, podejmowaniu decyzji na każdym odcinku działania, czyli pełna samorządność. Samorząd już obecnie pracuje bardzo dobrze, ale my chcemy osiągnąć jeszcze więcej, bo to pozwolą nam lepiej radzić sobie z problemami, których mamy nadmiar.

Z. Adamczewski: — Problemów rzeczywiście jest wiele. Na przykład w naszym zakładzie jest większość ludzi o długim stażu, starszych wiekiem. W ogóle średnia wieku prac-

owniców jest u nas bardzo wysoka. Kto będzie pracował, kiedy ci starzy pracownicy odejdą? Musimy wychować sobie nowe kadry, a tu są kłopoty z zatrudnieniem, brak ludzi, nowych rąk do pracy.

J. Kaczmarek: — Wskutek braku ludzi musimy zwiększać normy obsługi, np. z 2-3 krosien do 4-5. Oczywiście zarobki też odpowiednio się podnoszą, ale nie każdy może podjąć większe obciążenie. A bywają też ludzie, którzy wolą mniej zarobić, ale i mniej się napracować. Tych problemów nie można załatwić administracyjnie, lecz poprzez działania aktywistów samorządu i ich osobisty przykład. Ale i tu są przecież określone granice, których nie można przekroczyć. Możliwość poprawy sytuacji widzimy w modernizacji, ale to jest problem nie do przeskokowania. Kiedyś byliśmy jednym z najnowocześniejszych zakładów w branży i nasze zjednoczenie tak do tego przywykło, że modernizację odsuwano nam ciągle na dalszy plan. Obecnie nasz park maszynowy jest już mocno przestarzały i zaczyna się „sytać”.

T. Wasilewski: — To się bardzo odbija na produkcji. Ale nie tylko. Człowiek, który chce pracować, a nie

ma na czym, bo ciągle coś się psuje, zaczyna łamać się nerwowo. Najwięcej zwolnień lekarskich u nas jest właśnie na tle nerwicowym, przez tę ciągłą niepewność, przez tę prowizorkę! Samorząd robi tu wszystko co można, ale ile można?

Z. Adamczewski: — Tu nie pomoże KSR, tu jest konieczna modernizacja. Przy starym parku maszynowym problemem numer jeden jest sprawa części zamiennych. A części tych nie ma. My je wprost „wyrzynamy z gardła” dysponentom, a i tak nie wystarcza!

J. Skretny: — Są problemy, których samorząd nie załatwi wspólnie z innymi organizacjami zakładowymi i dyrekcją. Zatrudnienie nam się zmniejsza, a plany produkcyjne się zwiększają. Przy braku modernizacji i niedoborze części zamiennych powstaje problem nie do rozwiązania. To wszystko poważnie rzutuje nam na wykonanie planu, na produkcję eksportową, która jest naszym „oczkiem w głowie”. W naszym przypadku bez modernizacji można mówić o wzroście wydajności produkcji w granicach 1-1,5 proc., ale nie 10 proc. W sprawie modernizacji byliśmy wielokrotnie w zjednoczeniu, interweniowaliśmy w ministerstwie, komisji sejmowej, bo dla nas jest to sprawa „być albo nie być”. A przecież po modernizacji moglibyśmy zwiększyć produkcję nawet o 20 proc., przy jednoczesnym zmniejszeniu stanu zatrudnienia. Jest o co walczyć! My walczymy, ale już nam ręce opadają. Co można zrobić, jeśli proponuje się nam, aby zakład za nowe krosna zapłacił z własnych funduszy 2 mln dolarów? Skąd my mamy to wziąć? Nie ma dla nas funduszy, chociaż jesteśmy od lat czołowym eksporterem w branży i to właśnie do strefy dolarowej! Czy choćby z tego tytułu nie należy się nam jakaś pomoc?

T. Wasilewski: — Na razie wszyscy nam tylko obiecują pomoc. Np. „Wifama” była gotowa dać nam jeszcze w tym roku nowe krosna, ale pod warunkiem, że zapłacimy im 6 mln zł dewizowych! To jak to jest? W kraju kupować maszyny za dewizy, aby móc prowadzić produkcję, która właśnie owe dewizy naszemu krajowi przynosi? To jest dla nas problem nie do rozwiązania! Na razie więc musimy czekać, nie wiadomo na co i jak długo. Taka zabawa w ciuciubabkę.

Z. Adamczewski: — Taka sytuacja odbija się fatalnie na pracy przedsiębiorstwa, na samopoczuciu naszej załogi, odstrasza ludzi, którzy ewentualnie podjęliby u nas pracę. Tu nam żadne KSR nie pomogą. Ludzie naprawdę chcą pracować, ale przecież muszą mieć jakieś znośne warunki do pracy. Tym bardziej, jeżeli chcemy im stawiać wysokie wymagania, co jest przecież konieczne, zwłaszcza przy dużej produkcji eksportowej. A tu mamy takie problemy.

J. Skretny: — Ja mogę podać taki przykład. Na wykończalni mamy agregat, bardzo nam potrzebny. Zepsuł się w nim uszczelka przed rokiem. Trzeba było sprowadzić ją z importu. Załatwiliśmy sprawę przez „Varimex”, bezskutecznie przez cały rok! Wreszcie zwróciliśmy się nieoficjalną drogą do producenta w RFN. I co? Producent robi wspaniały gest — przysłał zupełnie darmo tę nieszczęsną uszczelkę, samolotem,

żeby było szybciej. Ale my nie możemy odebrać jej z lotniska, bo nie mamy 100 marek na opłacenie cła! Ja mam do dyspozycji 80 tys. zł dewizowych, ale nie na RFN. I tego cholernego rozdzielnika nie można przeskoczyć! Nikt nam nie pomoże!

Z. Adamczewski: — Drugi przykład. Mamy kłopoty z widlowymi wózkami produkcji bułgarskiej, bo popsuło się jakieś tam kółko. Bułgarczy mogą nam te części sprzedać w każdej chwili, ale tylko za dolary. Na to głupie kółko potrzeba 10 dolarów, ale już ponad rok nie możemy tej sprawy załatwić, bo na ten cel nie ma funduszy! Wypada tylko iść pod „Pewex” i prywatnie kupić te 10 dolarów, aby można było wreszcie uruchomić bardzo potrzebne urządzenie. Innego wyjścia nie widzę! Jak my to wszystko mówimy naszym posłom, to oni wprost nie chcą wierzyć, aby takie rzeczy były możliwe. A jak tę sprawę wytłumaczy robotnikom?

T. Wasilewski: — Powierza się dyrektorowi majątek miliardowej wartości, a nie wolno mu zadysponować paroma groszami według potrzeb, aby to jego przedsiębiorstwo mogło funkcjonować jak należy. Jak można w takich warunkach rozsądnie gospodarować, nawet przy najlepszej pracy Samorządu Robotniczego, kierownictwa zakładu i największym nawet zaangażowaniu załogi? Gdzie tu jest miejsce na samorządność?

J. Skretny: — Ja powiem jeszcze jedno. Mamy tu dostali wykaz różnych wyrobów, których nie wolno nam kupować, aby nie obciążać rynku. Inne niby można. Ale za to sklepy dostały na czerwiec absolutny zakaz sprzedaży czegokolwiek dla zakładów. Nie możemy więc kupić różnych śrubek, narzędzi, żarówek itp. I co ja mam zrobić, jeśli na halę wypalają się lampy, albo braknie jakiejś nakrętki do maszyny? Czy mam zatrzymać produkcję i rozpuścić ludzi do domów? Nie, ja wtedy wymyślłam cuda! Daję ludziom specjalne premie, aby oni mogli za te pieniądze kupić dla zakładu prywatnie to, co potrzeba, czasami nawet na bazarach. Tak muszą robić, bo inaczej to chyba by nam zakład stanął. To już jest supersensacja! Ale czy jakiś urzędnik zastanowił się nad tym? Nie, bo on jest daleko od tych spraw, bo jemu jest tak wygodnie. On nie ma kłopotów, bo wydał przepis. Swoje zrobił.

T. Wasilewski: — Mówi się dużo i głośno o dobrej robocie, zwiększaniu wydajności, poprawie jakości produkcji. Nawołuje się do lepszej, racjonalnej i mądrej gospodarki. Wiele oczekuje się od ludzi, od samorządów robotniczych. A tu bardziej trzeba radykalnych zmian, nowych rozwiązań, zwłaszcza technicznych.

J. Skretny: — Ja bym to tak zakończył. My mamy bardzo dobre wyniki produkcyjne, mimo wszystko, dzięki ludziom właśnie. Mamy wspaniałą załogę i bardzo dobry Samorząd Robotniczy. My chcemy dalej pracować, umiemy dobrze i mądrze gospodarować. Ale trzeba chociaż trochę poprawić nam warunki pracy, aby ta dobra gospodarka i mądra samorządność były w ogóle możliwe.

ZBIGNIEW S. NOWAK

JEŻELI STATEK PRZETRZYMA MORSKIE NAWAŁNICE...

Pierwsze wyniuchały kapitan Krystyna Łonecki. Gdzieś tam na horyzoncie, gdzie woda wtapia się w niebo odnalazły niedostrzeżony jeszcze dla oka jacht. Dochodziła godzina 17. Był 18 czerwiec 1978 rok i „Mazurek” potrzebował jeszcze kilkunastu, może 20-30 minut, żeby zakończyć swój samotny rejs po 3 oceanach.

Na historyczny moment powitania pierwszej w świecie żeglarki, która opłynęła kule ziemską, czekały na nabrzeżu Starego Portu w Gdańsku tłumy mieszkańców wybrzeża. Czekał rodzice — państwo Chojnowscy — rodzina. Przybyli przedstawiciele i gospodarze miasta, władze województwa gdańskiego.

Dzień był jasny, słoneczny, ale zimny i — choć to prawie lato — ludzie pocierali zmarznięte ręce, dopineli szerszeń palta. Większość trzymała w rękach kwiaty. Aksamenty, bransole, gerbery, paczki róż, drobne bukietki polnych goździków i oficjalne bukiety goździków biało-czerwonych.

Oczekiwanie przedłużało się i wszyscy coraz to zadzierali głowy śledząc lot śmigłowca, który to nadlatywał nad nabrzeże, to znów powracał, aby towarzyszyć kapitan Krystynie i ukrytymi kamerami rejestrować każdy z ostatnich metrów jej wielkiego rejsu. Aż jakiś wyrostek — co na barierę mostu przy zielonej bramie z niecierpliwością się wdrapał — zakrzyknął: „Płynię, płynię!” Oczywiście

które i tak wypatrywały, wpiły się prawie w horyzont. Jedni potwierdzali inni jeszcze wątpili. Ale już po kilku minutach można było dostrzec biały kadłub jachtu, czerwony pas pod burcią i napis „Yacht Yard Gdańsk”. Tym samym wątpiwości zostały rozwiane.

Z tyłu jachtu płynęła armada towarzyszących statków i stateczków. Z przodu powiewały transparenty: „100 lat Krystyno”, „Witamy Mazurka”. Po bokach — przy wejściu do portu — dwa statki strażackie z z dwóch strumieni wody utworzyły powitalny łuk, triumfalną bramę.

Im „Mazurek” był bliżej, tym ciszej robiło się na brzegu. To oczekiwanie przerwały rakiety — wyszczerzone wysoko oznajmiły, że statek minął symboliczną linię mety. Teraz był już widoczny w całej okazałości i pełnej gali banderowej. Stojący obok mnie prezes Polskiego Związku Żeglarskiego z układowi różnobarwnych chorągiewek odczytywał zaszyfrowaną dla niewtajemniczonych wiadomość: „W ciągu dwóch lat przepłynęłam 31 tys. 166 mil morskich, odwiedziłam 21 portów, 10 krajów, 4 kontynenty”.

I jest to najkrócej opowiedziana historia jej samotnego rejsu. Raport z trasy, której przed nią bezskutecznie próbowały żeglarki z Anglii i Francji. Sztuki tej dokonała właśnie Polka. Rozstawiła tym czynnem biało-czerwoną banderę, imię gdańskiej stoczni im. J. Conrada i jej inżynierów,

których dziełem jest „Mazurek”, będący seryjnym jachtem typu Konrad 32.

Przyjechała telewizja z Pragi, Berlina, Moskwy... „Mazurek” dzielił jeszcze metry od nabrzeża.

Na pokładzie ukazała się Krystyna Chojnowska. W czerwonym żeglarskim uniformie, w granatowej chusteczce na głowie. Po raz ostatni w tym wielkim rejsie rzuciła cumy i zaczęła klarować jacht. Odezwały się pierwsze wiwaty, na pokład padły pierwsze kwiaty. Na deski stateczku — bo trudno lupinke, której powierzchnia nie przekracza w sumie 30 metrów kwadratowych, nazywać poważnie statkiem — wskoczył Wacław Lisiewicz. Długo witał żonę, potem wyjął jej z rąk twarde liny i zakończył operację cumowania. Kapitan Krystyna wolniutko posuwała się w tłumie do bramy portu. Przyjmowała kwiaty, rozdawała uśmiechy, podnosiła do góry ofiarowywane jej maskotki. Była wzruszona.

Prezesowi Polskiego Związku Żeglarskiego, wysłuchującemu meldunku pani Krystyny, drżały ręce i działa karteczka, na której przygotował sobie powitalną mowę. Ale z honorowej trybuny nie padły przygotowane wcześniej zdania. Prezes powitał kapitan Krystynę całkiem inaczej niż to zaplanował, i nie padły dane o popularności jachtingu w naszym kraju, a zastąpiło je serdeczne: „Witaj Krystyno”.

Myślę, że warto poinformować

Czytelników o kilku faktach z historii jachtingu. Oto one:

„58 lat liczy historia zorganizowanego żeglarstwa. Pierwsze kluby powstały już w 1919 roku. Najstarszym — jest Yacht Club Polski i jego członkiem jest właśnie Krystyna Chojnowska. Polskie żeglarstwo zorganizowane jest w 700 klubach kraju i liczy ok. 100 tysięcy żeglarzy. 159 tysięcy osób zajmujących się żeglarstwem działa poza klubami. Kolejne 100 tys. to tzw. „niedzielni żeglarze”. To sympatycy płynący na łódkach z żaglek o powierzchni do 7 m kw. Polski jachtینگ jest prawie tak popularny, jak piłka nożna...”

„Wielka Dama 3 Oceanów” witała w tym czasie wruszonych rodzin. Udało nam się ja na chwilę wyłuskać z tłumy i poprosić o mini-wywiad.

— O czym myśli się, stawiając pierwsze kroki na rodzinnej ziemi? — O odpoczynku i... kolejnym rejsie. Ale już nie samotnym, a w towarzystwie męża — Wacława.

— Ile mil ma Pani za sobą?

— 31 tys. mil rejsu dookoła świata i 11 tys. mil „zrobione” na małych trasach zanim wypłynęłam na „Mazurku”.

— Czy zabrała Pani w rejs coś „na szczęście”?

— Granatową chusteczkę, tę, którą dziś mam na głowie. Nie rozstaje się z nią nigdy.

— Znamy wszyscy trudne chwile.

Które były najcięższe. Co pozwoliło jej przetrwać?

— Chyba przymusowe lądowanie w portach australijskich i choroba nerek. Stary marynarze mówią, że jeżeli statek przetrzyma morskie nawałnice, człowiek musi uczynie podobnie. Nie mogłam więc zawieść swojego „Mazurka”.

Salę Białą zabytkowego ratusza wypełnili ludzie morza, zasłużeni dla budowy portów Gdyni i Gdańska, kapitanowie, inżynierowie ze Stoczni Jachtowej im. Conrada...

Hymn narodowy — „Mazurek Dąbrowskiego” — dał początek chwilom najważniejszym. Krystyna Chojnowska wzruszona rozwinęła biało-czerwoną banderę, tę samą, którą podniosła 30 grudnia 1975 r. i pod którą „Mazurek” opłynął świat i przekazała i sekretarzowi KC PZPR

„Edwardowi Gierkowi. Jeszcze meldunek o pomyślnym wykonaniu zadania złożony przez panią kapitan i Edward Gierkę przystąpił do dekoracji kpt. Krystyny Chojnowskiej-Lisiewicz jednym z najwyższych odznaczeń państwowych w naszym kraju — Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

— Niech to odznaczenie — powiedział E. Gierka — będzie wyrazem czci i szacunku dla Polki — pierwszej kobiety, która samotnie opłynęła świat.

URSZULA SURMACZ

recenzje

STANISŁAW MAJCHROWSKI POWRÓT PARSZYWCY

Postać lumpa zrobiła karierę we współczesnej prozie polskiej. Od dwudziestu kilku lat młodzi zwłaszcza pisarze, szukając swojego bohatera, z upodobaniem sięgają po człowieka z tzw. marginesu społecznego. Terenem literackiej penetracji stają się środowiska „periferyjne”, zamknięte, rządzące się własnymi prawami i obyczajami, będące zazwyczaj w konflikcie z władzą, normami prawnymi, bądź hierarchią uznanych oficjalnie wartości. Sporo można by podać przykładów zainteresowania twórców tymi enklawami społecznego bytu, ale z pewnością nie najmniej ważną jest fascynacja odmiennością, egzotyka życia i spraw ludzi z „dół”. Szybko jednak dostrzeżono, iż lump jest wytworem nie tylko określonych, zawsze podobnych warunków środowiskowych, ale uformować się może, jako typ socjologiczny w każdej warstwie społecznej i w różnych grupach zawodowych. Kształtują go bowiem tyleż czynniki materialne i otoczenie, co i pewne cechy osobowościowe. Lump posiada wiele twarzy, mnóstwo wcieleń, zapewne tyle, ile poświęcono mu literackich realizacji. Nie jest łatwo go zdefiniować, chociaż często się mówi o utrwaleniu i funkcjonowaniu stereotypu lumpa.

Trudności mają dwójaki charakter. Kracja tej postaci bywa zwykle oparta na dobrej znajomości realiów konkretnego wycinka rzeczywistości, stąd znaczne każdorazowe zindywidualizowanie bohatera. (Pomijam przypadki, gdy ta sama faktycznie postać występuje w szeregu utworach; zdarza się tak np. w opowiadaniach Marka Nowakowskiego). Po wtóre — rysem istotnym lumpa jest swoista nieostrość charakterologiczna, gdyż bardziej jednoznacznie objaśnia się on w negacji niż w afirmacji. Częściej wiadomo kim lump nie jest, tylko wyjątkowo daje się określić pozytywną formułą. Znamionuje go sprzeciw, nieprzystosowanie do zastanych form życia zbiorowego, bywa opozycjonistą, nonkonformistą lub outsiderem, niepokornym ewanżelistą, bądź zabubionym, sfrustrowanym nieszczęśliwym, pijakiem, kryminalistą, „charakterlikiem”, a także neurastenikiem. Respektuje chwilowe reguły gry i zasady solidarności w takiej mierze, w jakiej jest to potrzebne do zabezpieczenia egzystencji. Z wyboru i konieczności jest samotnikiem. Głęboko ukrywa swój własny światek małych czy większych tęsknot i pragnień.

Bohater ostatnio wydanej powieści Ryszarda Binkowskiego posiada niektóre cechy tak charakterystyczne dla lumpa. Równocześnie jednak znacznie odbiega od ukształtowanego dotychczas w literaturze wzorca. Stanowi przykład lumpa „zredukowanego”, przywróconego społeczeństwu i normalnemu życiu.

Aby doprowadzić do takiego finału, Binkowski nacłaga czasem psychologię postaci oraz sytuację. Uwiadamia się to szczególnie w zestawieniu z pełnym autentyzmu zarysowaniem pejzażu i społeczności miasteczka, gdzie toczy się akcja powieści.

Do Ryczkowa (może to być choćby Rzgów koło Łodzi), miejsca swojego urodzenia, wraca po wielu latach Rysiek Kramer z zamiarem po prostu odczekania, by w stosownej chwili dokonać porachunku ze współnikiem „skoku na jubilerkę”, w którym wziął udział poniekąd wbrew swej woli. Ma za sobą nieukończoną studia prawnicze, kilka przestępstw i kilka wyroków zakończonych długimi latami więzienia oraz nieudaną próbę porządne go życia. Przypadkowo usłyszała wzmianka o niejasnych okolicznościach zgonu ojca zmienia sens przyjazdu. Kramer chce teraz rozwikłać zagadkę śmierci ojca. Jego pozostawienie wnoszą niepokój w senną, zastygłą atmosferę miasteczka, pod powierzchnią której toczy się przecież utajona gra interesów, odbywają się pokątne szwindle i matactwa, trwają zastarzałe urazy i krzywdy. Miejscowi notabie czują się zagrożeni, usiłują pozbyć się nie rozpoznanego do końca przeciwnika. Nie znając początkowo motywów wrogości, Kramer siebie czyni winnym odtrącenia. Nabyte w ciągu całego życia kompleksy rodzą w nim przekonanie, iż jest nieudacznikiem, pechowcem i właśnie parszywcem,



k którego nawet mieszkańcy rodzinnego Ryczkowa nie chcą zaakceptować. Machinacje kłiki Marchewki i Krawczyka, wspomaganymi przez byłego współnika Ryska, obracają się w rezultacie przeciwko nim samym. W nowym procesie Kramer zostaje u niewinniony; zrywa z przeszłością, staje się uczelwym, prawym obywatelem. A przynajmniej nikt nie powinien mieć wątpliwości, że takim od tej pory będzie.

Tydzień spędzony w Ryczkowie wystarczy, by Kramer przeistoczył się w innego człowieka. Wypada się więc cieszyć, że zli zostaną ukarani, a dobra z natury, acz złąbkana owieczka powróci do stada. Szkoda natomiast, że zawodzi motywacja tego stanu rzeczy. Miasteczko powiesiowe, gdzie więcej nuda, beznadziejności, gdzie trochę radości można znaleźć tylko w knajpie i butelce „księżycówki”, gdzie lepiej marzyć o wyrwanu się ku czernym lasom, a inni zalać ciemne interesy, tak miasteczko nie może posiadać i faktycznie nie ma tej pozytywnej siły przyciągania, zdolnej „przekwalifikować” moralnie lumpa. Owszem — może z powodzeniem oddziaływać destrukcyjnie.

W uposażeniu duchowym Kramera również nie znajdujemy dostatecznych motywów jego przemian. Zamiast ukształtowanej w pewien sposób indywidualności, jakiej wymagałaby sytuacja i dokonujące się przeobrażenia, których wszak bohater stał się sprawcą i podmiotem, autor spręparował, niekonsekwentnie zresztą, człowieka o ograniczonej samowiedzy, w miarę rozgarniętego, sprytnego, wyrachowanego, w miarę tepawego (i na cóż zdają się studia), na zewnątrz „twardziela” i cynika, wewnątrz rozmalanego, sentymentalnego i zmęczonego, a w dodatku uczynił go niebywałym pogromcą i zdobywcą niewieści serc i ciał. Należy zatem uwierzyć, że o wszystkim zdecydował romans z Ireną, smutek egzystencyjny bohatera, jego pragnienie stabilizacji oraz wstręt do kryminalu. Ale by uwierzyć, trzeba mieć sporo dobrej woli, tym bardziej że Kramer całą sprawę ujmując daleko prościej: „W rozmowie z Iryką powoli gasło wzburzenie, mój umysł przestawał się na chłodny racjonalizm. Kij z błyskotkami, znajdując spokój i raz na zawsze wyrwę się z tamtego bałaganu. Namawiałem Irykę na tę złotą alianę, ale robitem to bez przekonania. I nawet uśmiechnąłem się przed tą cholerną kupą złomu, kiedy stanowczo odmówiła”.

Postać Ryska Kramera oraz jego perypetie wraz z ostatecznym rozwiązaniem, osadzone w konwencji powieści kryminalno-detektywistycznej, sprawiają wrażenie tworu wykonanego, lepiej oddającego zamiar pisarza, niż realny ludzki los. Perspektywa optymistyczna została tu podważona zbyt widoczną w konstrukcji anegdoty intencją dydaktyczną i niedopasowaniem sylwetki „parszywca” z jego amorficzną świadomością i prymitywizmem intelektualnym do zadań przed nim postawionych.

Niedomogi w kreacji głównego bohatera kompensuje w dużym stopniu obraz Ryczkowa z galerii drugoplanowych postaci, przedstawionych ze znajomością środowiska podmiejskiego, jeśli za takie uznać społeczność miasteczka. Trafne ukazanie kontaktu, ścierania się i nakładania dwu kultur, dwóch modeli życia: wiejskiego i wielkomiejskiego, konfliktów z tym związanych, rytm egzystencji w jej codziennych przejawach, umiejętność wydobycia szczegółu podkreślającego lokalny koloryt zjawisk — wszystko to należy zapisać na konto osiągnięć Binkowskiego. Niepośledni zmysł obserwacji, dokumentowania już we wcześniejszych powieściach i opowiadaniach, poparty sprawnością w budowaniu dialogów i scenek rodzajowych czynią z „Parszywca” lekturę interesującą, choć raczej wakacyjną. Czy na tym kończą się ambicje autora „Pójdźcieś ponad sadem”? Wydaje się, że i aspiracje, i — co ważniejsze — możliwości prozatorskie Binkowskiego są dużo większe.

Ryszard Binkowski, Parszywec. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978.

STANISŁAW KORAB BRZozowski

Ukazał się niedawno w Wydawnictwie Literackim szesnastki tom wierszy — niewiele ponad 100 stron. Tytuł „Poezje zebrane”. Dziś młodzi poeci wydają większe tomy wierszy stanowiących produkcję jednego sezonu. A tu — „poezje zebrane”. Zebrane z całego życia... Ale też było to życie przerażające krótkie. Stanisław Korab Brzozowski zmarł śmiercią samobójczą w wieku lat dwudziestu pięciu.

Tadeusz Boy-Żeleński pisze o tej śmierci, że miała styl epoki. Poeta sprzedał resztę szczupłego dobytku i zaprosił na kolację paru przyjaciół. Wiedzieli — czy raczej czuli — że ta kolacja jest dla niego ostatnią. Nad ranem wstał od stołu, pożegnał się spokojnie i wyszedł. W jakiś czas potem biśladnicy zakradli się pod drzwi jego pokoju i zajrzeli przez dziurkę od klucza. Leżał na podłodze martwy.

Podobnie pisze o tej śmierci Stanisław Helżyński w swojej książce o Przybyszewskim: „Sprzedał na krótko przed śmiercią skromne swoje ruchomości i przygotował kolację, na którą zaprosił grono przyjaciół. Nastór panował koszmarny. Wiedziano, że przygotuje się coś niesamowitego. Jakoś nad ranem opuścił gospodarz gości i zniknąwszy, już nie powrócił. Gdy po dłuższym czasie poczęło go szukać, znaleziono martwego na podłodze. Zajął truciznę. Wtajemniczeni nie dziwili się, śmierć gospodarza była jednym z ogniw długiego łańcucha młodzieńczych samobójstw w kręgu lwowskim i przygotowywała się z dawną w atmosferze makabrycznych wizji odmalowywanych w książkach Przybyszewskiego”.

Brzozowskiego ukształtowała epoka, w jakiej ten młodzieniec, wpisany dziś na stałe w literaturę Młodej Polski, żył i tworzył. Jego śmierć jest, jak gdyby wyjęta z powieści Przybyszewskiego.

W chwili śmierci Brzozowski miał mniej lat, niż Kasprzowicz w momencie wydania pierwszego tomiku poetyckiego. Te jego „Poezje zebrane”, to załedwie debiut. Ale daj nam Boże taki debiut!

Te wiersze sprzed blisko stu lat są do dziś żywe i nawet wietrzeła młodopolska maniera nie odebrała im świeżości. Ma rację Maria Podraza-Kwiatkowska, gdy pisze we wstępie tej książki, że oszczędność słów, zwięzła i celowa kompozycja, dobre rzemiosło poetyckie — wyróżniają Brzozowskiego korzystnie wśród rówieśników i dają szansę zainteresowania również współczesnego czytelnika.

Większość wierszy barda Młodej Polski, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, straciła swą nośność w latach trzydziestych. Garska wierszy Stanisława Korab Brzozowskiego — metora na młodopolskim niebie — jest do dziś żywa. Jakiż talent zabiła tamta epoka!

Osobny tomik jego wierszy, drukowanych za życia w czasopiśmie, ukazał się dopiero w 1910 roku, dziewięć lat po śmierci poety.

Liryka Brzozowskiego nawiązuje do rodzimej tradycji romantycznej w jej młodopolskim ujęciu i do współczesnych prądów w poezji francuskiej, przede wszystkim do symbolizmu, którego Brzozowski jest w naszej literaturze wybitnym przedstawicielem. Związki z Francją miał zresztą Brzozowski z racji urodzenia; jego matka była Francuzką, brat Wicenty (także poeta, zmarły w wieku niespełna 70 lat, w czasie II wojny światowej) pisywał wiersze po francusku pod pseudonimem Vincent de Korab...

W poezji Brzozowskiego odbijają się typowe dla tego obrazu postawy: indywidualizm, arystokratyzm twórczy i skłócona wewnętrznie, przepojona akcentami buntu religijność. Umiejętność nadania własnego wyrazu motywom i środkom poetyckim wspólnym epoce, wyrażania stanów emocjonalnych w zwartej formie, znamiona niewątpliwego, choć nie w pełni jeszcze dojrzałego talentu — pozwalają, mimo przedwczesnej śmierci, zaliczyć Brzozowskiego do najciekawszych indywidualności Młodej Polski.

JERZY WILMAŃSKI
Stanisław Korab Brzozowski „Poezje zebrane”. Opracowała Maria Podraza-Kwiatkowska. Wydawnictwo Literackie, cena zł 30.

KINO AMERYKAŃSKIE ODKRYWA KOBIECĘ

Gdyby ten film podpisała kobieta, miałaby za swoje. Zrealizował go jednak Robert Altman, autor m. in. znakomicie przyjętego „Nashville”, reżyser uznawany za jedną z najciekawszych indywidualności współczesnego kina amerykańskiego. „Trzy kobiety” Altmana, „Allicja już tu nie mieszka” Scorcese’a i nieznanne jeszcze u nas: „Julia” Zinnemana, „Kobieta niezamężna” Mazurskiego, „Anna Hall” Allena, świadczą, iż film amerykański odnalazł nowy temat. Zrodził się on zapewne w kontekście ruchu „wolnościowego” kobiet, a może i z braku lepszych pomysłów. Okazał się zaś niezwykle atrakcyjny, dał też aktorom szansę powrotu na ekran tak szczerze w ostatnich latach wypełniany przez mężczyzn.

Altman nie byłby Altmanem, gdyby bohaterki jego filmu i ich świat stały się tylko pretekstem do psychologicznych analiz. Kobięcy temat połączył go jednak w tę stronę tak silnie, że zachwał równowagę całości. Znakomity w pierwszej części filmu, przeistacza się dalej w dość kiepską psychodramę burzącą to, co było u początku tak precyzyjnie prowadzone. Wypowiadam tę opinię, choć mogę przypuszczać, że dla wielu widzów właśnie te psychoanalityczne dywagacje stanowią przedzielną wartość tego filmu. Ta wielopłaszczyznowość „Trzech kobiet” jest w mym odczuciu ich słabością, mimo, iż najczęściej wielopłaszczyznowość zaswiadcza o czymś precyzywnym.

Lubimy sobie stawiać pytanie — o czym jest ten film. Odpowiedź przy „Trzech kobietach” nie jest na nie prosta. Wolalabym odpowiedzieć, że jest to film o pograżeniu się w jałowość, bezdużność konsumpcyjnego życia i film o procesach zatraty osobowości. I byłaby to relacja z pierwszej części tego filmu, w którym w centrum uwagi stoją dwie dziewczyny. Przedwcześnie starzejąca się Millie, kształtująca siebie i swe życie na wzór propagowanego przez ilustrowane magazyny modelu szczęścia, i młodzianka Pinky, której marzeniem jest umieć być taką, jak Millie.

Obserwacje obyczajowe i psychologiczne, jakie poczynia tu autor, wspierane są mistrzostwem wpisania losów obu dziewcząt w niezwykle pejzaż Kalifornii, w którym cywilizacja nie pochłonęła jeszcze do końca natury. W tym pejzażu wszystko, co nie jest czystą naturą — płaskim pustyni, niebem i zielenią, naplennowane jest fałszem. Taki jest zakład geriatryczny, w którym pracują te dziewczęta, taki jest bar „Dodge City”, w którym usiłują się bawić, taki jest dom, w którym mieszkają. Tacy są także ludzie w pejzażu tym żyjący, poddani nie presji natury, lecz cywilizacji.

Z pejzażu tego wyłania się trzecia bohaterka — milcząca Willie, tworząca swe niezwykle erotyczne rysunki niby mozaiki. Mozaiki te stają się narracyjnym leitmotiwem zapowiadającym dalszy bieg wypadków. Temu, co było straszne i groźne w sposób wystarczająco umotywowany, zaczyna towarzyszyć metafizyka.

Wspaniałe studium natury i cywilizacji, studium psychologii społecznej i jednostkowej przekazane poprzez przepięknie stylizowaną fotografię, mającą w sobie coś z sennego marzenia, przeobraża się w dętą, psychoanalityczną dywagację o procesach i istocie identyfikacji.

Ten film poświęcony samotności, smutkowi i jałowości życia, ubóstwu duchowemu, światu, nieumiejętności podporządkowywania swych osobowości wzorcom, które je niszczą, mógł skończyć się różnie. Wolą Altmana jego bohaterki decydują się na pełną fikcję życia i zamykają w chorej, anormalnej, matriarchalnej „rodzinie” bez mężczyzny. A przecież wszystko, co było przedtem, wskazywało, że nie o analizie tego typu patologii Altmanowi — przenikliwemu przeciw społeczeństwu moralistom — chodziło. Skąd więc ten pomysł? Czy spowodował go katastrofizm postawy reżysera, czy napór komercyjnego miod, czy też usiłował szanse, jakie poetyka snu niesie poetyce kina. Ale ona sprawdzała się Altmanowi i w tej części filmu, która nie prowadziła jeszcze na manowce. Bohaterki „Trzech kobiet” i tam jawiły się już, jak w pięknym, lecz przerażającym śnie, w którym nie ma miejsca dla istot żywych. Ucieczka z niego nie jest może dla nich możliwa, lecz patologicznie katastrofizm zakończenia tej opowieści przesądza o połowiczności intelektualnej refleksji tego filmu, którego urodzić nie jednak nie może zaszkodzić.

EWA NURCZYŃSKA

POWRÓT BRATA MARNOTRAWNEGO

Oglądam telewizję w miarę często od mniej więcej dwudziestu lat (od dwóch i pół roku w kolorze) i nie już właściwie nie powinno mnie dziwić. Czasem pooblebiam sobie, że oglądam w rzeczywistości siebie, co chyba byłoby tak zwaną specyfiką. A przecież nie raz plała mi ona (telewizja) figle, ukazując mi się z nieznaną dotąd strony, zaskakując jak kapryśna kobieta...

Takie właśnie odczucie miałem, oglądając spektakl teatralny telewizyjny BBC „Brat marnotrawny” Oskara Wilde’a w reżyserii Jamesa Mac Taggart. Sztukę tę napisał Wilde w 1895 roku — na pięć lat przed śmiercią — mając lat 39 i znajdując się w pełnym rozkwicie twórczym. Nazwał ją dwuznacznie: „The Importance of Being Earnest”, co tłumaczy się dosłownie: „Doniosłość bycia poważnym”, ale znacząco może także: „Doniosłość albo znaczenie — W.O.) bycia Ernestem”. Te nieprzekładalne na nasz język grę słów próbowałam u nas zastąpić sformulowaniem: „Bądźmy poważni na serio” (a prapremierę polską miała ta sztuka już po śmierci autora w 1907 roku, zaś pierwszą edycję w rok później, więc równo przed 70 laty), po czym jednak zrezygnowano z kurczowego trzymania się oryginału i obecnie sztuka grywana jest przez nasze teatry pod tytułem „Brat marnotrawny”.

Istnieje w Polsce także musicalowa przeróbka L. J. Kerna i W. Krzeminskiego z muzyką T. Dobrzyńskiego pod nazwą „Lord z walizki”, wystawiana m. in. w Łodzi w 1965 roku w Teatrze „7.15”. Ta próba odświeżenia „Brata marnotrawnego”, podana go w bardziej strawnym sosie, nie jest przypadkiem. Wynikła ona stąd, że się nam sztuka Wilde’a solidnie zeszła. Jej kontestacyjny charakter, wymierzony swym satyrycznym ostrzem w skrajnie skonwulsiowane życie wyższych sfer towarzyskich wiktoriańskiej Anglii, otóż ten kontestacyjny charakter przysporzył autorowi w końcu XIX wieku wielu zaciekłych wrogów spośród ludzi wpływowych. Dziś jednak wyblakł pod wpływem czasu, stał się anachronizmem, który w małym stopniu jest w stanie zaangażować emocjonalnie widza.

Muszę zatem wyznać, że zasiadając przed telewizorem, by obejrzeć „Brata marnotrawnego” pełen miastanych uczuć. W niestrasznie tej najmniej chyba było owego milego dreszyczka oczekiwania, który poprzedza u mnie widoku zapowiadające się jakie uczta dla oczu i ducha. Sześć wie kierowało mną poczucie recenzenckiego obowiązku niż widoki na osobiste usatysfakcjonowanie. I właśnie tu czekała mnie miła niespodzianka.

Brytyjski reżyser przedstawienia nie podszedł do tekstu z uszanowaniem. Jakiś winniśmy szacownym klasykom literatury dramatycznej. Zdawał sobie doskonale sprawę, że zarówno sławka na uwypuklenie przebiegów fabularnych, jak i próba wyakcentowania demaskatorskiego charakteru sztuki musi prowadzić do niepowodzenia. Fabuła jest bowiem absolutnie „wymyślona”, skonstruowana dość precyzyjnie, ale w sposób sztuczny. Potraktowanie jej serio przez reżysera miało by być samobójstwem. A odważa demaskatorska? Ta skureczyła się i zmalala, jak wspomnieć, do tego stopnia, że trudno ją kogoś owliwiek epatować.

Cóż w takim razie pozostało? Jakich możliwości można się doszukać w sekwencyjnym tekście, by nabrał znowu młodzieńczego wigoru? Czy one w ogóle istnieją? James Mac Taggart zadaje nam co do tego pytanie, że zarówno sławka było tylko środkiem, uczynić trzeba celem samo w sobie. Ów środek to wspaniałe angielskie poczucie humoru, to nagromadzenie w ramach niespełna dwugodzinnej spektaklu takiej ilości najprzeróżniejszych dowcipów, celnych powiedzonek, które Francuzi nazywają: bon mots, aforizmów i świadomego przewrotnych idyotyzmów a pozorach prawdy, że można by tym bogactwem obdzielić nie jedną lecz dziesięć sztuk.

Mac Taggart krował dowcipne powiedzenia bohaterami swojego spektaklu. Dla Wilde’a były one amunicją, którą nieustraszenie ostrzeliwał skostniałe konwencje, snobizm i zastoiny umysł, dążąc do dokonania wyłomu w grubym murze, jakim ówczesna elita angielska obwarowała się przed wszelkim racjonalizmem i rozsądkiem. Dziś, gdy fortyfikacje te zostały dawno zburzone, a konwencje gruntuńskie osmiezione, pozostaje nam cieszyć się pomyślnością i urodą samej użytej do tego „amunicji”...

Stop! W tym momencie się zagłupiałem. Czy istnieje bezinteresowna percepcja satyry? Chyba nie. Ta której autorem jest Wilde straciła wprawdzie swoje dawne, historyczne uwarunkowanie cele. Ale głupota jest przecież nieśmiertelna, więc racie dowcipów wyszlachanych kiedyś przez świętego pisarza może także dziś różnych zadufków i ignorantów, rozdzierać bezlitośnie zasłony, za którymi usłali oni sobie wygodne gniazda.

A jaka w tym wszystkim zaskakuje cała rola telewizji? A taka, że dzięki koncepcji reżyserkiej, dzięki świetnemu podawaniu dowcipów zwłaszcza przez Corale Browne (Lady Bracknell), umożliwiła efektywny powrót „Brata marnotrawnego”.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Foto: W. Parys

Mecz Argentyny z Holandią godny był finału mistrzostw świata. To była walka do ostatniej chwili. Walka dwóch groźnych rywali, którzy wbrew opinii starszych panów z telewizji wcale nie grali na niskim poziomie. Starsi panowie z telewizji mieli też inne zdanie w sprawie sedziska. Prowadzącego finałowe spotkanie. Zademonstrowali tym sporą odwagę, bo byli wbrew opinii nie tylko polskiej, ale i holenderskiej widowni. Mimo licznych wysiłków sedziska, mecz Holendrów z Argentynczykami toczył się w ostrym, ale dobrym stylu. Proszę zwrócić uwagę, że piłkarze starali się wykorzystywać każdą piłkę. Wybijanie na aut było rzadkie. U nas się mówi, że piłkarze szanują piłkę. Nasi robią to jednak dość rzadko.

Zwyciężył lepszy, choć może byłoby lepiej powiedzieć, że zwyciężył południowoamerykański styl gry w piłkę nożną. Stało się tak i w finale, i w półfinale. Złoty i srebrny medal pozostał w Południowej Ameryce. Holendrzy po zwycięstwie i dramatycznej walce potwierdzili tylko swoją drugą pozycję w piłkarskim świecie, choć niektórzy myśleli, że może tym razem uda się im zdobyć Złota Nike.

Na długo przed mistrzostwami świata, ale już po zakończeniu eliminacji, 16 trenerów ujawniło swoje typy. Tylko dwóch przewidziało, że mistrzostwo świata zdobędzie Argentyna. Byli to Helmut Schoen (RFN) i Lajos Baroti (Węgry). Przewidzieli również Stanisław Terlecki, który w telewizji skutecznie przeciwdziałiał się opinii starszych panów. Dzielnie wśród nich również Cesar Menotti, który mimo swoich błędnych przewidywań stał się bohaterem Argentyny i w niedzielę, 25 czerwca 1978 roku można było zobaczyć na ekranie telewizora, jak Cesar Menotti uśmiecha się. Do tej pory pokazywał kibicom całego świata kamienne niewzruszone twarze.

Również Helmut Senekowitsch — trener Austrii, która skutecznie wyeliminowała drużynę RFN — prze-

widywał, że jedenastka Helmuta Schoena zdobędzie ponownie tytuł mistrza świata. A co przewidywał Jacek Gmoch? Na pytanie, kto zdobędzie tytuł mistrza świata, nie odpowiedział w ogóle, dając tym subtelnie do zrozumienia, że myśli o swojej drużynie. Natomiast nie pomylił się, kiedy twierdził, że najgroźniejszymi zespółami w walce o mistrzostwo będą: Argentyna, Brazylia, Holandia. Wszyscy trenerzy wymienili bowiem Holandię wśród najgroźniejszych rywali pretendentów do mistrzowskiego tytułu. Polski nie wymienili nikt.

Mylił się jest rzeczą ludzką, sama pomyliłam się sądząc, że to RFN spotka się z Brazylią w finale. Któż mógł przypuszczać, że piłkarze RFN będą razem z naszymi wracali do Europy? Raczej Włochów widziało się w tej roli. To pokazuje, jak trudno w piłce nożnej cokolwiek przewidywać. A mimo to trzeba. Taki obowiązek ma przynajmniej trener. „On — podobnie jak saper — mylił się tylko raz. Wprowadził skutki tej pomyłki są nieporównanie łagodniejsze, ale błędów naprawić już nie można. Przekonało się o tym wielu trenerów z Mundialu 78. Wśród nich również i Jacek Gmoch.

Mecz Polski z Brazylią potwierdził wszystkie dotychczasowe braki naszej jedenastki. Brak skuteczności był tak wielki, że w końcu Jerzy Gorgoń musiał gnać pod bramkę Brazylijczyków i próbował ratować honor Polaków. Ale już nie go nie mogło uratować, bo stracił nasz piłkarz ten honor znacznie wcześniej. — Ambicji nie brakowało — kończył sprawozdanie z tego meczu Jan Ciszewski. Ambicji rzeczywiście nie brakowało, ale dodajmy: brakowało umiejętności.

Jacek Gmoch, przed wyjazdem do Argentyny, opublikował książkę pt. „Alchemia futbolu”. Drukowali ją na łamach „Odgłosów” fragmenty z tej książki. Książka jest interesująca. Jacek Gmoch w logiczny i przekonujący sposób rozwija tam teorię piłki nożnej. Wszakże w Argentynie trudno było dostrzec praktyczną realizację tej teorii. „Przełom Sportowy”

AMBICJI NIE BRAKOWAŁO

nie bez racji wytknął polskiemu trenerowi, że wystawiał uparcie do ataku Andrzeja Szarmacha wbrew temu, co pisał o takim postępowaniu w swojej książce.

Dzisiaj już można z całym spokojem stwierdzić, że koncepcja polskiego zespołu na Argentynę była błędna. Błędna była niemal każda taktyka przyjmowana przed poszczególnymi meczami. Niektórych zawodników — jak choćby Zbigniewa Bońka — trener polskiego zespołu ustawiał w taki sposób, jakby nie znał największych walorów piłkarza. Mogłoby się wydawać, że Jacek Gmoch postanowił we wszystkim naśladować Helmuta Schoena i tak, jak szczywny lis niemieckiego futbolu usłował przed wszystkim własną bramkę. Obydwom sztuczka się nie udała. Obie drużyny wyeliminowano jednego dnia. Oba drużynom zabrakło skutecznych strzelców.

Jacek Gmoch twierdził uparcie, że tournée południowoamerykańskie naszej drużyny w ubiegłym roku było niezwykle pożyteczne. Stefan Sieniariski w „Życiu Warszawy” słusznie zauważył, że owszem było bardzo pożyteczne, ale przede wszystkim dla Argentyny i Brazylii. Sporo nauczyli się wtedy, podpatrzyli naszych i grali z nimi na pewniaka. Naszym chłopcom — jak śmieją się w Polsce kibice — w Argentynie skradziono bank informacji.

Wszyscy zastrzegają się, że na podsumowanie przyjdzie jeszcze czas. Ale kilka pytań można sformułować już teraz, można też podzielić się kilkoma refleksjami. Oto na przykład podstawowe pytanie: po co pojechało do Argentyny 22 piłkarzy? Czy, kiedy było już wiadomo, że mecz z Brazylią jest meczem o wszystko, nie można było zaryzykować innego ustawienia ataku? Dla mnie żenująca była scena pokazana przez argentyńskich realizatorów, kiedy Jacek Gmoch wpuszczał na boisko Włodzimierza Lubańskiego. Na ostatnie 15 minut, aby sobie trochę pograł i nie uważał pobytu w Argentynie za stracony. Czym tak bardzo — jak twierdził trener — Włodzimierz Lubański zmęczony był w Rosario? Więcej przecież siedział na ławce niż grał.

Można podejrzewać, że w zestawieniu drużyny Jacek Gmoch bardziej kierował się swoimi wyobrażeniami o poszczególnych piłkarzach, a nie tym, co oni akurat reprezentowali. Kiedy skończył się mecz Polska — Brazylia i skończyły się występy Polaków w Argentynie, ktoś trafnie zażartował: — Wszystkim się zdawało, że to Kazio Górski gra jeszcze, a to echo grało. Echo młodej sławy. I nikt mnie nie przekona, że Polacy mieli kompleks przeciwników, że dopiero następnego pokolenie piłkarzy wyzwołali się

z tych kompleksów. Przecza zresztą temu słowa i trenera i drużyny.

Jacek Gmoch zapewniał przecież przed wyjazdem, że drużyna jest przygotowana jak nigdy, dając tym do zrozumienia, że rezultaty tego też będą takie, jak nigdy. Ambicji naszym zawodnikom nie brakowało. Kazimierz Deyna lubił często wypowiadać się o szansach naszego zespołu. Andrzejowi Bilińskiemu z „Trybuny Ludu”, przed meczem z Argentyną, powiedział: — Zdajemy sobie sprawę, że w opinii większości nasze szanse są raczej skromne i właśnie ta świadomość szczególnie nas dopinguje. Lubimy grać takie mecze, w których faworytem jest przeciwnik. Dlatego właśnie najlepiej wypadliśmy w spotkaniach z drużynami RFN i Argentyny.

I gdzie tu kompleksy? Zdaniem Kazimierza Deyny — i nie tylko jego — brakowało nam jedynie... szczęścia. Przecież obu meczy, które wymienili Dostojny Jubilat Polacy nie wygrali. Jeden zremisowali, drugi przegrali. W obu byli jednakowo nieskuteczni w ataku.

Po sukcesach trenerskich Huberta Wagnera, każdy teraz podnosi w wypowiedziach poprzeczek. Hubert Wagner wszakże dotrzymuje słowa, kiedy twierdzi, że interesuje go tylko taki, a nie inny medal. Inni na ogół cenią się znacznie wyżej, niż pozwalają im

na to możliwości. Stąd i rozczarowania. A przecież nie stało się nic złego, bo i tak wiadomo było, że nie posiadamy drużyny, która mogłaby sprostać wymaganiom argentyńskiego turnieju. Uwierzyliśmy tylko niepotrzebnie Jackowi Gmochowi, kiedy przekonywał nas, że jest inaczej. I to był nasz błąd. Teraz chodzi jednak o to, aby na niedostatki polskiej piłki nożnej popatrzeć z całą ostrością, a nie szukać usprawiedliwiających teoretyk.

Mówi się więc o kompleksach, które rzekomo przeszkodziły nam wejść do finału. Mówi się o złym poziomie mistrzostwa, co ma nasz zespół rehabilitować, bo skoro inni też grali źle, a nas chwalono za mecze przegrane, to ho, ho! Oповіда się, że nie byliśmy tacy najgorsi, skoro wracaliśmy do Europy razem z drużyną RFN. W porażce równi jesteśmy byłym mistrzostwem świata. A chodzi o to, aby nie ustępować aktualnym. Wszak z Argentyną przegraliśmy tylko 0:2, a Holendrów aż 1:3. Ale Holendrzy przegrali w finale, a my trochę wcześniej. I tak dalej, i tak dalej. A przyczyn tego faktu trzeba po prostu szukać w naszej kochanej piłkarskiej lidze. Niestety.

BOGDA MADEJ



Foto: W. Parys

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

AUTOPORTRET PISARZA

Książka ta jest niewątpliwie jedną z cichych sensacji tegorocznego sezonu literackiego. Może dlatego, że konkretniej niż inne wypowiedzi tego typu ukazuje najciszej związki literatury współczesnej, aktualnie powstającej, z życiem społecznym, a zwłaszcza politycznym. Osobiste przeżycia pisarza nabierają w notatkach Romana Bratnego znaczenia symptomu, urastają niekiedy do rangi symbolu.

Przyświeca mu potrzeba tropienia prawdy o sobie, swoich książkach, o czasie, w którym powstawały. Jest to więc bardzo rzeczowa literatura konfesyjna, choć — szczerze mówiąc — autora ponosi niekiedy pióro i na podstawie własnych przypadków stara się dać dalekosiężne uogólnienia.

Zalutując swe literackie (i nie tylko) porachunki z Sokorskim, dziękuję Bratny za recenzję z „Losów”, o której to książce — jak powiada —

„trudno było pisać”. O „Pamiętniku moich książek” też niełatwo pisać. A mimo to pojawiają się recenzje, zapewne bez liczenia na to, iż w ko-

lejnym tomie „Pamiętnika” skwituje autor swą wdzięczność.

Z przewrotnym nieco pomysłem, by książki „pisały” pamiętnik o swym autorze nosił się Roman Bratny dościsłe długo. Ślady dojrzenia tej myśli znaleźć można w „Życiu raz jeszcze”, gdy jeden z bohaterów, młody pisarz Czerny (wzorowany notabene na Tadeuszu Borowskim), prowadzi zapiski o swoich książkach, ich genezie, recepcji. Sam Bratny takich systematycznych zapisów nie prowadził. Nie były mu potrzebne w momencie, gdy pisywał pierwsze wiersze jako żołnierz Armii Krajowej, nie miał na nie czasu, gdy jeździł na początku lat pięćdziesiątych na reportaż z wielkich budów socjalizmu, ani potem, gdy współpracował z kolejnymi pismami i mógłby zanotować niejedną perypetię spowodowaną felietonem czy innym publicystycznym wystąpieniem.

Prawdziwa potrzeba napisania swego pamiętnika zrodziła się wówczas, kiedy nadeszła chwila spojrzenia wstecz, nawet nie tyle z perspektywy przeżytych lat, co z perspektywy oceny funkcji owych czterdziestu książek, które co prawda od dawna żyją samodzielnie życiem, lecz w świadomości autora tkwią jako kolejne znaki przemian czasu, sposobu myślenia, fluktuacji społecznych i politycznych nastawień, czy tylko taktyk. Według tradycyjnych kryteriów, obowiązujących w naszej społeczności, pisarz posiada w dalszym ciągu status pod wieloma względami wyjątkowy. Związek Literatów Polskich jest organizacją bardzo elitarną. Co pewien czas odzywają tedy tęsknoty do sprawowania „rządu dusz” czy też „inżynierii społecznej”. Nie potrafimy się pozbyć (któ to zresztą wie, może wcale nie chcemy) przyzwyczajenia, aby na gruncie literatury rozstrzygały się

sprawy zupełnie od niej niezależnie, aby literatura była narodowym panaceum na najrozmaitsze (i te prawdziwe, i te urojone) dolegliwości. Może dlatego tak często nasi pisarze, nie mogąc sprostać sygnalizowanej tu, dziedzicznej po poprzednich epokach, tendencji wykazują cechy zwykłych neurasteników. Mógłby ktoś pomyśleć, że piszę to wszystko z myślą o autorze „Pamiętnika moich książek”, spieszę więc wyjaśnić, że tak nie jest, nie dotyczy to Bratnego, ale jego książki — wyraźnie prowokującej do tego rodzaju przemyśleń. Całkowicie zresztą nie usuwam Bratnego w cień, skoro sam oświadcza, iż spojrzenie wstecz poprzez tę książkę ma mu pomóc w „odnalezieniu siebie i właśnie siebie we wszystkich niezłomnych, a jednak osobowo i ideowo spójnych wcieleniach”.

Wcielenia owe — to nade wszystko książki. Rekonstruuje autor okoliczności ich powstania, przypomina zamiary i nadzieje, jakie towarzyszyły ich powstawaniu i wypuszczeniu w świat, pamięta sukcesy, ale nie zapomina i o niepowodzeniach. Istnieją jednak całe obszernie fragmenty „Pamiętnika moich książek”, gdzie właśnie książki liczą się najmniej. Do głosu dochodzą sprawy osobiste i środowiskowe. Najczęściej pisze o nich Bratny wprost, nie owijając w bawełnę, bo przecież jest to jego subiektywne spojrzenie na rzeczy minionie i teraźniejsze. Niekiedy zaś trzeba dysponować kluczem środowiskowym, znać owo „targowisko próżności”, jak nazywa najpotężniejsze w kraju środowisko literackie stolicy, by w miejsce „X” podstawić odpowiednie nazwisko, i tym samym dopisać szczegółową pointę w niektórych partiach tekstu. Rzecz normalna, bo i uczestnicy życia literackiego znajdują się na różnych szczeblach wtajemniczenia.

Sądzę, że atmosferę książki Bratnego oddaje — jak to często bywa — anegdota. Oto jeden z pisarzy poprosił o zatrzymanie taksówki na Krakowskim Przedmieściu:

— A co tu jest?
— Związek Literatów — powiedział mój kolega.
— To pan do nich należy?
Kolega przyznał się.
— A kiedy będziecie pisać prawdę? — zapytał go taksówkarz, wydając mu resztę.

Otóż poszukiwanie prawdy własnego życia i własnych książek to tylko jedna strona spraw poruszonych w „Pamiętniku”. Strona druga — to poszukiwanie prawdy przez literaturę, eksponowanie jej pomocniczej roli w ustalaniu prawdy w swoim czasie. Tak widzi Bratny społeczną rolę pisarza. Powiada: „Polityka winna cenić prawdę literatury, choćby miała ona krytyczne kolce, powinna ją cenić chociażby w imię rozeznania rzeczywistości. Społeczeństwo w okresie wzrostu zagrożone jest, jak każdy organizm żywy, przez wiele niebezpieczeństw, narażone na działanie wielu zarazków (...). Dopuszczenie do głosu gorzkiej nawet prawdy jest afirmacją rzeczywistości w całej jej złożonej strukturze dobra i zła, afirmacją taką jest gwarancją, że wnet prawda będzie lepsza”. Rozeznanie rzeczywistości jawi się więc jako zasadnicza funkcja współczesnego pisarstwa. Tak też traktuje Roman Bratny własną twórczość. Jego najnowsza książka okazuje się godnym komentarzem do literackich dokonań, odsłania przed czytelnikiem — niekiedy zupełnie kokieterijnie — rozmaite pisarskie uwikłania, o których często nie wiemy, czytając pachnące jeszcze drukarską farbą powieści.

Roman Bratny, „Pamiętnik moich książek”, „Czytelnik”, Warszawa 1978, nakład 20 320 egz., s. 218, cena zł 30.

U PRZYJACIOŁ

Pod koniec XIX wieku do rosyjskiej literatury zaczynały przeciekać z dalekiej „pustyni lodowej”, gdzie przebywała na zycie „narodowolcy” wśród Czukczów, Jukagirów i Eskimosów, opowiadania o zapomnianych, odciętych od cywilizacji, dzielnych, odważnych reniterów, rybakach i myśliwych Czukockiego Półwyspu. Pieśń Czukotki, wysoko cenionym przez Karolena, Czechowa i Gorkiego był narodowolce Bogaraz-Tan, przewany przez Czukczów „Welpem”, co znaczy „człowiek piszący”. „Weipa dawno już nie ma, ale zainteresowanie Czukotką, zapoczątkowane jego książkami, nie osłabło. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej wzrosło po ukazaniu się utworów całej plejady radzieckich pisarzy urzędowych dołączyła Północ: Tichona Siemuszkina, Mikołaja Maksimowa, Mikołaja Szundike, Władłena Leonowa i wielu innych. Należy do nich także Jurij Rytcheu, który w swych książkach przekazał wiele z dnia dzisiejszego i historii tej ziemi.

W moskiewskim Muzeum Literatury odbył się niedawno niezwykle wycieczny. Z taśmy magnetycznej przemówił do zebranych słuchaczy głos autora „Wojny i pokoju” po raz pierwszy odtworzony publicznie. Po wielu próbach udało się odtworzyć stare nagrania. Kilka lat temu grupa pracowników naukowych Muzeum rozpoczęła żmudną pracę przetransponowania głosu wielkiego pisarza ze starych taśm fonograficznych na nowoczesną aparaturę. Przy pomocy Muzeum im. L. Tolstoja i studium nagrań płytowych firmy „Melodia” wspólnym wysiłkiem udało się stworzyć unikalną kolekcję i udostępnić ją publiczności. Początkowo wydawało się jednak, że trudności są nie do pokonania. Treścią było „prze-pisać” głos Lwa Tolstoja z taśm unikalnego aparatu, który podarował pisarzowi Edison w dowód wielkiego uznania dla autora „Wojny i pokoju”. Po licznych próbach udało się z kilku dawnych modeli zmontować nowy fonograf przybliżony do edisonowskiego. Badania rozpoczęły się jednak od wertowania dokumentów, listów i wspomnień współczesnych pisarzowi. Należało bowiem najpierw ustalić, czy 19 taśm przechowywanych w Muzeum Tolstoja stanowi całość zachowaną spójnie. Po przebadaniu dostępnych materiałów udało się odnaleźć około 80 zapisów głosu Lwa Tolstoja. Z tego jednak, po wielu komplikacjach, udało się wyodrębnić tylko 30 taśm, które przetrwały na nowoczesną aparaturę. W Muzeum Literatury, w ciszy pełnej wzruszenia, po tylu latach zabrzmiał głos pisarza, czytającego swe opowiadania dla dzieci, m. in. bajkę „Wilki”.

Około 280 młodych muzyków z całego świata uczestniczy w tegorocznym, szóstym już z kolei Międzynarodowym Konkursie im. Czajkowskiego. Jest to nie tylko największy, lecz — zdaniem specjalistów — i najtrudniejszy turniej muzyczny, a zarazem wydarzenie kulturalne o znaczeniu ogólnosięciowym. Tegoroczny konkurs ma charakter jubileuszowy, minęło bowiem 20 lat od dnia otwarcia I Konkursu w roku 1958. Można więc mówić o jego tradycjach i doświadczeniach. Stale wzrasta liczba uczestników — poszerza się „geografia” konkursu. Przed 20 laty współzawodnictwo obejmowało tylko dwie dyscypliny, obecnie jest ich już cztery (fortepian, skrzypce, wiolonczela i śpiew), planuje się w przyszłości wprowadzić dyrygenturę. Ważną rolę w pracach jury wybitnych muzyków z wielu krajów świata. Warto przy tym zaznaczyć, że wśród jurorów znajdują się również laureaci poprzednich konkursów. Miarą zainteresowania, jakim cieszy się ta wielka impreza, jest liczba udziału w niej zagranicznych gości-obszwaratorów. Są wśród nich profesorowie i rektorzy wyższych szkół muzycznych, dyrektorzy organizacji koncertowych i firm płytowych, organizatorzy międzynarodowych konkursów, przedstawiciele towarzystw radiotelewizyjnych.

W Dreźnie zakończyła się najmłodsza z międzynarodowych imprez kulturalnych organizowanych w NRD — I Drezdeński Festiwal Muzyczny. Zakrojony na szeroką skalę program Festiwalu obejmował około 40 imprez, w tym 12 prawykonań utworów muzycznych oraz występy światowej sławy zespołów i solistów. Ogółem w Festiwalu wzięło udział 3.400 artystów z blisko 20 krajów. Impreza cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, sale koncertowe były przepelnione, a zapotrzebowanie na bilety wielokrotnie przekraczało liczbę widzów. Koncerty odbywały się nie tylko w reprezentacyjnych salach Drezna, ale także w pięknych okolicach miasta, w zabytkowych obiektach. Wśród wykonawców znalazły się także zespoły, jak: Kameralny Teatr Muzyczny z Moskwy, orkiestra Filharmonii Berlina Zachodniego pod dyrekcją Herberta von Karajana, Warszawska Opera Kameralna, Filharmonia Budapeszteńska, Academia Claudio Monteverdi z Wenecji oraz wybitni śpiewacy.

Byli agent amerykańskiego wywiadu, w wydanej niedawno książce, oskarża wyższych pracowników CIA o wprowadzenie w błąd Kongresu i amerykańskiej opinii publicznej co do skali udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie 1975 roku w Angoli. Byli dyrektorem „specjalnej grupy CIA do spraw Angoli”, John Stockwell, pisze w książce „W poszukiwaniu wroga”, iż Centralna Agencja Wywiadowcza zatrudniała Amerykanów w Angoli w charakterze doradców wojskowych. Omówienie tej książki ukazało się na łamach „New York Times”.

Autor książki, który po 25 latach pracy w charakterze tajnego agenta operacyjnego w Afryce i Wietnamie, przeszedł w 1977 roku na emeryturę, zniechęcony działalnością CIA, opowiada także, że agencja w tajemnicy werbowała najemników, którzy mieli walczyć po stronie dwóch rozbijających ugrupowań w Angoli, cieszących się poparciem USA. W 1975 roku i w początkach 1976 prezydent Ford asygnował ponad 30 mln dolarów na tajną pomoc dla tych ugrupowań. Narodowemu Frontowi Wyzwolenia Angoli (FNLA), którego przywódcą jest Holden Roberto i Narodowemu Związkowi na rzecz pełnej niepodległości Angoli (UNITA) na czele z Jonasem Savimbi.

CIA rozpoczęło tajne operacje w Angoli w okresie, kiedy nielegalna działalność szpiegowska agencji wewnątrz Stanów Zjednoczonych i organizowane przez nią zamachy na zagranicznych przywódców były przedmiotem śledztwa w Kongresie. Dezinformacja i kłamstwo, pisze Stockwell, osiągnęły szczyt, kiedy we wrześniu 1975 roku do Angoli przyjechał senator D. Clark, przewodniczący podkomisji do spraw Afryki przy senackiej komisji spraw zagranicznych. W przeddzień przyjazdu senatora — pisze Stockwell — kierownictwo CIA wysłało do starszych stopniem pracowników agencji w sąsiednim Zairze, gdzie w pewnych rejonach tego kraju znajdowały się bazy wspierające operacyjną działalność CIA w Angoli, specjalne telegramy z instrukcją, w jaki sposób należy postępować, żeby senator zobaczył tylko to, co było korzystne dla CIA. Kiedy w Stockwellu zrodziły się pewne wątpliwości co do tej operacji i gdy podzielił się nimi ze swymi kolegami, powiedziano mu, iż „senatorom nie można ufać” i że „jeśli Clark zamierza wtrącać się do naszego programu, wdając się w rozmowy z Afrykanami, to trzeba tak pokierować sprawami, żeby nie dopuścili do tego nasi agenci”. Stockwell dowiedział się o „specjalnych okolicznościach” związanych z wizytą Clarka dopiero wtedy, gdy przeczytał dossier senatora w tzw. „wielkiej okładce”. Tego rodzaju dossier nazywa się w CIA „nieoficjalne”. Nie rejestruje się ich w kartotekach agencji, podkreśla Stockwell, i dlatego istnienia takiego dossier nigdy nie da się wykryć.

Senator opuścił Afrykę żywiąc jednak głębokie podejrzenia co do prawdziwej roli CIA w Angoli, ale nie

mógł zapaść agencji na kłamstwie. I zresztą nie zdecydował się tego zrobić — pisze autor cytowanej książki — głównie dlatego, iż przedstawiono mu ściśle poufną informację o niektórych tajnych dostawach broni za pośrednictwem kanałów CIA oraz o działalności agencji w zakresie pomocy Holdenowi Roberto (FNLA) i Jonasowi Savimbi (UNITA). „CIA zakneblowała senatorowi usta — przysięgał on, iż nie wyjawia informacji, które otrzymał” — pisze Stockwell. Dziesiątki innych urzędników wpadło w podobną pułapkę, kiedy Colby (ówczesny dyrektor CIA) w okresie istnienia tego programu metodycznie kontynuował swoje „krótkie sprawozdania”.

DZIAŁALNOŚĆ CIA W ANGOLI I GHANIE

Dalej autor książki pisze, iż CIA wprowadziła w błąd także Kongres i opinię publiczną w sprawie swego udziału w działaniach wojsk południowoafrykańskich, które przyłączyły się do sił zbrojnych Savimbi w 1975 roku. Przytacza on wypowiedzi Colby zamieszczone w jego niedawno wydanych wspomnieniach, że CIA „trzymała się z boku” od afrykańskich wojsk w Angoli. W rzeczywistości jednak — pisze Stockwell — „CIA tradycyjnie sympatyzowała z RPA i utrzymywała ściśle kontakty z BOSS — południowoafrykańską służbą wywiadowczą — w Angoli i w innych rejonach. Zresztą pisze o tym sam Colby. „W ten sposób, bez żadnych memorandum redagowanych w sztabie CIA i wywołujących do koordynowania działalności z RPA, współpraca taka istniała na wszystkich szczeblach”.

Pracownicy CIA w Zairze przeprowadzili także szczegółowe opracowanie operacji propagandowej, w wyniku której w amerykańskich gazetach często publikowano wprowadzające w błąd informacje — pisze Stockwell. Przytacza on wypadek, kiedy w konsekwencji propagandy CIA w gazetach zamieszczono artykuły twierdzące, jakoby Związek Radziecki „wydawał setki milionów dolarów na wspomaganie wojsk dowodzonych przez Neto i kierował doradców wojskowych do Angoli”. Prasa (burzawizna — red.) całego świata usłuszenie podchwytuje te twierdzenia” — pisze Stockwell. Dwa miesiące później — pisze on — w gazecie „Washington Post” ukazało się nowe kłamliwe twierdzenie, jakoby prozachodnie ugrupowania w Angoli wzięły do niewoli 35 radzieckich i kubańskich doradców.

Jak już wiadomo z relacji dobrze poinformowanych pracowników amerykańskiego wywiadu, CIA konsultowała i popierała grupę opozycyjnych oficerów, którzy obalili rząd w Ghanie w lutym 1966 roku. Udział Centralnej Agencji Wywiadowczej w tym przewrocie państwowym nie był uprzednio aprobowany przez międzyresortową grupę na wysokim szczeblu w Waszyngtonie, która kontroluje tajne operacje CIA. Grupa ta, znana w 1966 roku pod nazwą Komitetu 303, odrzuciła uprzednią propozycję CIA o zapobieganiu spisku prze-

ciwko prezydentowi Ghany, który zrywał Stany Zjednoczone utrzymując bliskie stosunki ze Związkiem Radzieckim i Chinami. Chociaż działalność CIA wiele razy była przedmiotem śledztwa w ciągu 12 lat, które minęły od czasu obalenia rządu prezydenta Ghany, do tej pory nigdy nie ogłoszono żadnych informacji o roli CIA w tym przewrocie państwowym. Pracownicy wywiadu powiadzili, iż na pewien czas przed obaleniem rządu w Ghanie rezydent CIA w stolicy Ghany — Akrze, poprosił kierownictwo CIA o zezwolenie na użycie niewielkiego oddziału agentów wchodzących w skład specjalnej grupy operacyjnej CIA. Ludzie ci mieli podczas puczu napa-

na ambasadę chińską, zabić wszystkich jej pracowników i zniszczyć budynek ambasady. Mieli także zagarnąć, jak najwięcej dokumentów z wydziału szyfrów. Po pewnych wahaniach wysoko postawione osobistości CIA w Waszyngtonie postanowiły nie dać zgody na przeprowadzenie tej operacji.

Stockwell pisze, że już po tym jak kierownictwo wysokiego szczebla zabroniło agencji podjęcia prób obalenia rządu w Ghanie, rezydentura CIA w Akrze otrzymała instrukcje „Centra” utrzymywania dalszego kontaktu z opozycjonistami w ghańskiej armii. W konsekwencji pracownicy CIA wzięli jak najbardziej aktywny udział w przygotowaniach do puczu. Stockwell wskazuje, iż „w kwaterze CIA wszystkie zastręgi za dokonanie tego przewrotu przypisano rezydenturze w Akrze”. Ludzie, od których „New York Times” otrzymał te informacje, powiedzili, że wielu agentów CIA w Afryce uważało, że właśnie ich agencja odegrała decydującą rolę w obaleniu rządu w Ghanie. Przynajmniej niektórzy pracownicy CIA w Waszyngtonie zdecydowanie zgodzili się z tym, ponieważ Howard Bans, który był w owym czasie głównym rezydentem CIA w Akrze, szybko awansował; przeniesiono go z Ghany do Waszyngtonu, gdzie otrzymał nominację na stanowisko naczelnika operacyjnego wydziału sektora afrykańskiego.

W swojej książce Stockwell pisze, iż „CIA wykorzystywało „Komitet 40” (obecna nazwa), żeby nadać oficjalny charakter niektórym najbardziej delikatnym operacjom, ale przekazywało Komitetowi 40 informacje dalekie od prawdy, co do przygotowywanych operacji. Oczywiście było ich немало, a niektóre z nich miały bardzo poważne następstwa” — pisze Stockwell.

Tak oto zachodnia propaganda, przesłaniającą dymną zasłoną własną interwencję w Zairze, rozpętała szumną kampanię o rzekomo radziecko-kubańskim mieszaninzie w wewnętrzne sprawy tego państwa. Cel tego manewru jest oczywisty: odwrócić uwagę światowej opinii publicznej od interwencji mocarstw zachodnich.

Oprac. JERZY CZECH

ZSRR-RFN

MILIARDOWE KONTRAKTY

Ekonomiczna współpraca między ZSRR i RFN rozwija się obecnie na podstawie długoterminowego porozumienia obliczonego na 25 lat. Umocnienie kontaktów w tej sferze, zwiększenie objętości handlu ze Związkiem Radzieckim, którego ekonomika nie jest narażona na kryzysy i wstrząsy, odpowiada interesom szerokich warstw społeczeństwa Republiki Federalnej Niemiec. Jednocześnie rozszerzenie współpracy handlowej jest czynnikiem trwałego i wzajemnie korzystnego wzrostu dobrościsłowych stosunków z korzyścią dla wszystkich narodów.

Dziesięć artykułów tego porozumienia w dziedzinie ekonomiki i przemysłu przewiduje ściśle współdziałanie obu krajów przede wszystkim w dziedzinie surowców i energii oraz w budowie obiektów przemysłowych.

Na Wschodzie jest dość pracy — pisze ekonomiczny komentator hamburskiego „Der Stern” — Firmy RFN będą wznosić zakłady chemiczne w zachodniobrytyjskim mieście Tomsku, wybudują gigantyczny hotel w Leningradzie, dostarczą kompletne urządzenia dla zakładów aluminiowych, przyjmą uzupełniające zamówienia na setki milionów marek w związku z budową kurskiego kombinatu metalurgicznego. W latach 1973-1977 wielkość radzieckozachodniemieckiego handlu podwoiła się z 5 do ponad 10 miliardów marek. Do 1981 roku, jak mówi się w końcowym akcie porozumienia, objętość tego handlu zwiększy się jeszcze dwukrotnie.

Zachodniemieckiej przemyśle dostarcza w pierwszej kolejności kompletne wyposażenie dla fabryk metalurgicznych, chemicznych i przemysłu meblarskiego, jak również buduje supermoderny dworzec lotniczy — Szeremietie. Wzrost widać już teraz, kiedy Związek Radziecki dostarczał do RFN przede wszystkim surowce. Zachodniemieckie szpitale otrzymują dziś instrumenty medyczne, które produkuje tylko Związek Radziecki; „medyczny satelit” zaszywa cięcia operacyjne szybciej i lepiej niż aparatura zachodniemieckiej produkcji; koncern Siemens sprzedaje wynalazony w ZSRR aparat leczniczy „Urad”, który kruszy kamienie w nerkach i pęcherzu, wydała je z tych organów i tym samym zapobiega operacjom.

Duży sukces odniósł Związek Radziecki, konstruując aparat fotograficzny „Zenit 3 M”, który zachodniemiecka firma handlowa „Kwelle” sprzedaje pod nazwą „Revue”. Sukces „Zenita” jest tym większy, iż utrzymał się na rynku RFN, znanego przecież eksportera aparatów fotograficznych. Firma „Kwelle” przełamała wszelkie uprzedzenia dewiza: „Kosmiczne sukcesy ZSRR potwierdzają wysoki poziom techniki”. Do eksportowego programu ZSRR włączono także znakomite zegarki na rękę „Poliot” wyprodukowane w Kosmosie.

Konkretny rejestr sfer współpracy nabiera szczególnej skali — pisze zachodniemiecki publicysta — jeśli uwzględnimy, czym są oba porozumienia: jedno z jednej strony największy eksporter maszyn i wyposażenia technicznego z minimalnymi własnymi zasobami surowcowymi i stałe rosnące zapotrzebowanie na źródła energii, a z drugiej strony — kraj z gigantycznymi zasobami surowcowymi i energiętymi oraz potężnym przemysłem.

Porozumienie potwierdza poglądy wyrażone przez jednego z przedstawicieli kierownictwa „Deutsche Bank” że RFN i ZSRR są idealnymi partnerami handlowymi. Komentator polityczny „Deutsche Volkszeitung” pisze m. in.: „Porozumienie to stwarza szansę na wykorzystanie możliwości, które leżą w ekonomicznych strukturach obu krajów, ale należy przy tym raz i na zawsze odrzucić próby dyskryminowania partnera. Tym bardziej, iż termin porozumienia sięga aż 2003 roku i jego uniwersalność przekształca ten dokument w polityczny element wielkiej wagi”.

(C.)

■ NOWA PERSPEKTYWA ■ POLSKA W KOSMOSIE ■ KANDYDAT CHADECJI

Historyczne, tradycyjne i współcześnie głębokie, wielopłaszczyznowe związki Polski i Węgier wzmocniły się jeszcze bardziej i otrzymały nową perspektywę w następstwie wizyty delegacji partyjno-rządowej WRP z J. Kadarem. Przyjaźielskie rozmowy z polskimi gospodarzami były przeglądem aktualnego stanu stosunków i wzajemną wymianą doświadczeń oraz służyły nakreśleniu dalszych kierunków ścisłego współdziałania. W ich następstwie należy oczekiwać nowych rezultatów na drodze socjalistycznej integracji.

Znaczną część wspólnego komunikatu polsko-węgierskiego o rozmowach wypełnia stanowisko obu krajów wobec najważniejszych problemów międzynarodowych. Podkreślając, że Polska i Węgry nie ustają w wysiłkach, aby procesowi odprężenia nadać powszechny, nieodwracalny i uniwersalny charakter stwierdzają się jednocześnie ich zdecydowanie w przeciwnym kierunku, jakim jest reakcja, które zagrażają jemu i zatruwają atmosferę międzynarodową. Kompleksy militarno-przemysłowe zainteresowane są w trwaniu wyższego zbrojeń. Destrukcyjną, antyodprężeniową politykę uprawia kierownictwo ChRL.

Obecnie decydujące znaczenie ma odprężenie w sferze militarnej. Bez podjęcia kroków na rzecz rozbrojenia „nie będzie można utrwalić pozytyw-

nych tendencji w rozwoju stosunków międzynarodowych”. Polska i Węgry wypowiedzią się przeciwko planom rozpoczęcia produkcji jakiegokolwiek nowego typu broni masowego zniszczenia, a w tej liczbie broni neutronowej, wyrażają nadzieję, że specjalna sesja ONZ wypracuje konkretny program działania w kierunku rozbrojenia, spodziewają się, iż rokowania radziecko-amerykańskie SALT zakończona zostaną pomyślnie, a także opowiadają się za jak najszybszym zawarciem porozumienia w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej w oparciu o zasadę równego bezpieczeństwa wszystkich państw, uczestniczących w rokowaniach wiedeńskich.

Jak wynika z komunikatu, obie strony poświęciły w rozmowach swoją uwagę również Wietnamowi, Etiopii i sytuacji na Bliskim Wschodzie. Polska i Węgry wyraziły swoją solidarność z Socjalistyczną Republiką Wietnamu, której „pokojowe budownictwo jest znowu zagrożone”. Popierają jej dążenie do rozwiązania wszystkich otwartych problemów środkami politycznymi.

Udzielają poparcia walce narodu Etiopii o jedność terytorialną i obronę postępowych zdobyczy.

Wyrażają swe zaniepokojenie utrzymującą się nadal zapalną sytu-

acją na Bliskim Wschodzie. Sprawiedliwe rozwiązanie może nastąpić tylko na drodze wycofania wojsk izraelskich z zagarniętych terytoriów arabskich i zapewnienia praw arabskiemu narodowi Palestyny. Konieczne jest wznowienie konferencji geneńskiej z udziałem wszystkich zainteresowanych stron.

Tak więc w toku warszawskich rozmów wymieniono poglądy również o najważniejszych problemach międzynarodowych i dano wyraz wspólnemu w tych kwestiach stanowisku.

W czasie, w którym przygotowujemy komentarz do druku, środki masowego przekazu w Polsce dużo uwagi poświęcają naszemu udziałowi w badaniach kosmicznych. Oczekiwany jest rychły start w kosmos pierwszego Polaka.

Uczestnicząc w programie Interkosmosu — przed dwoma laty przystąpiliśmy do przygotowania własnych kandydatów, wybierając ich spośród pilotów wojskowych, latających na samolotach nadźwiękowych. Pierwszy, wielocelowy etap przygotowawczy prowadziliśmy w kraju, potem wyslektowani kandydaci przeszli szczegółowe badania w Ośrodku Przygotowań Kosmonautów im. Gagarina w Miasteczku Gwiezdnym.

Nasz udział w badaniach kosmicznych świadczy o wysokim poziomie polskiej nauki i o jej ścisłej współpracy z nauką radziecką.

Częstokrotko nieorientowanym wydaje się, że badania kosmiczne zwrócone są wyłącznie w przyszłość i nie

ma z nich współcześnie większego pożytku. Takiej opinii musimy stanowczo zaprzeczyć. Doświadczenia radzieckie wskazują, że korzyści z badań dla gospodarki są oczywiste. Wyprawy kosmiczne pozwalają na przykład rozpoznać zasoby naturalne kraju i przyspieszać ich wykorzystywanie. W ZSRR geologowie, kartografowie, pracownicy nauki i leśnictwa i rybołówstwa składają pod adresem kosmonautów konkretne zamówienia...

Jak już pisaliśmy, w bieżącym tygodniu wybrany zostanie nowy prezydent Włoch. Okazuje się, że kandydatem większości chrześcijańskiej demokracji będzie Benigno Zaccagnini — sekretarz generalny tej partii.

W ub. tygodniu obradowało kierownictwo WIPK. W dokumencie ogłoszonym po zakończeniu posiedzenia komisji podkreślają, że nominacja prezydenta powinna być rezultatem jak najszerszego porozumienia sił demokratycznych, tak, aby przyszła głowa państwa uosabiała nie fasadową, lecz prawdziwą jedność narodu i gwarantowała respektowanie republikańskiej konstytucji kraju. Komisja ujawniła wcześniej, że w przypadku osiągnięcia takiego porozumienia będą głosować na uzgodnionego kandydata, jeśli natomiast do tego nie dojdzie — wystawią swoją kandydaturę.

W. SŁAWSKI

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

OGŁOSZENIE W SPRAWIE DWÓCH DO ROZBIÓRKI DOMU

Kuchnia w nowo pobudowanym domu nie jest jeszcze w pełni zagospodarowana. Białe ściany czekają na pomalowanie, okna na framki, a meble na ostateczne ustawienie.

Przy stole siedzi Blaszczyk, mężczyzna po pięćdziesiątce. Jest pora poobiednia. Blaszczykowi swawia przed mężem kubek gorącej herbaty, ale on, zapatrzonej w gazetę nie dostaje tego. Przewraca jedną stronę, drugą, dłużej zatrzymuje wzrok na trzeciej. Głośno czyta:

— „Zatrudnię dwóch mężczyzn do pracy sezonowej. Jan Blaszczyk. Sosnowki 2. Gmina Pleszczno”.

— A widzisz, pamiętał o tym, choć tyle ma na głowie...

Blaszczyk odki...da gazetę, zbliża do ust kubek, parzy się lekko, tykając zbyt wiele i zbyt szybko. Nie jest zadowolony z terminu ukazania się ogłoszenia:

— Długo na to trzeba było czekać.

Troskliwa małżonka podstawiła mu pusty kubek. Blaszczyk studiował herbatę przelewając ją z kubka do kubka.

* * *

Asfaltowa droga wśród pól jest niezbyt ruchliwa, jednak od czasu do czasu przejeżdża tędy samochód. Ta droga łączy „Bambino” i „Lisek”. Pierwszy — chłopak w wieku lat dwudziestu kilku, dobrze zbudowany, powolny w ruchach, niedźwiedziowaty. Sprawia wrażenie chłopaka dobrodusznego i naiwnego. Drugi jest mężczyzna drobny, w okolicy trzydziestki, w jego oczach widzieć raczej zahukanie aniżeli przebiegłość.

Idąc, obaj podnoszą ręce — zatrzymują samochody. Ciężki Jelcz z przyczepą nie zatrzymuje się, teraz przejeżdża Wołga. Chociaż pusta oni nie podnoszą rąk. Następna jedzie Nyska, ale niestety nie reaguje na ich wymachiwanie.

Kilkadziesiąt kroków przed nimi samochody zatrzymuje dziewczyna, ale nie stanowią dla siebie konkurencji. Ona zwraca uwagę tylko na osobowe.

* * *

Blaszczyk przestudiował już wszystkie ogłoszenia. Przelewa herbatę z kubka do kubka, odwraca stronę gazety, teraz przed jego oczami jest strona tytułowa.

— O słuchaj! — spogląda na żonę — „W dniu dzisiejszym rozpoczęto realizację amnestii dla więźniów skazanych na wyroki poniżej pięciu lat więzienia. Amnestia ta dotyczy więźniów”...

* * *

Blaszczyk przestudiował już wszystkie ogłoszenia. Przelewa herbatę z kubka do kubka, odwraca stronę gazety, teraz przed jego oczami jest strona tytułowa.

— O słuchaj! — spogląda na żonę — „W dniu dzisiejszym rozpoczęto realizację amnestii dla więźniów skazanych na wyroki poniżej pięciu lat więzienia. Amnestia ta dotyczy więźniów”...

* * *

Blaszczyk przestudiował już wszystkie ogłoszenia. Przelewa herbatę z kubka do kubka, odwraca stronę gazety, teraz przed jego oczami jest strona tytułowa.

— O słuchaj! — spogląda na żonę — „W dniu dzisiejszym rozpoczęto realizację amnestii dla więźniów skazanych na wyroki poniżej pięciu lat więzienia. Amnestia ta dotyczy więźniów”...

* * *

Blaszczyk przestudiował już wszystkie ogłoszenia. Przelewa herbatę z kubka do kubka, odwraca stronę gazety, teraz przed jego oczami jest strona tytułowa.

— O słuchaj! — spogląda na żonę — „W dniu dzisiejszym rozpoczęto realizację amnestii dla więźniów skazanych na wyroki poniżej pięciu lat więzienia. Amnestia ta dotyczy więźniów”...

Bambino i Lisek biegną w stronę samochodu.

A w samochodzie wymiana pierwszych spojrzeń między kierowcą a dziewczyną. Kierowca jest mężczyzną około trzydziestki ona — w wieku, kiedy nie przestała być jeszcze nastolatką, a już jest kobietą. Może lat dwadzieścia. Dobrze zbudowana, rysy twarzy grube, ale nie wulgarnie. Zmysłowa, w typie „piękność z przedmieścia”. Odgłos rozrusznika. Samochód nie zapala. Dłoń kierowcy przy rozruszniku, warkot, znów fiasko.

Lisek i Bambino, dobiegłszy do samochodu, gapiają się do wnętrza, a tam wymiana spojrzeń między mężczyzną a kobietą. Kierowca odruchowo włącza radio, informację południowego dziennika: „W dniu dzisiejszym rozpoczęto realizację amnestii dla więźniów skazanych na wyroki poniżej pięciu lat więzienia. Amnestia ta dotyczy więźniów...”

Więc muszą wysiąść i, wobec dwu świadków, zaczyna popychać samochód. Po chwili dołączają do nich Lisek i Bambino. Kiedy silnik zapala, kierowca i dziewczyna wsiada w bieżący do samochodu, Lisek i Bambino zostają z tyłu.

Ale samochód, po ujechaniu około trzydziestu metrów, zatrzymuje się. Ręka kierowcy wychyla się z okna i przywołuje dwóch. Ci podbiegają.

— Dokąd?

— Tylko kawalek — odpowiada Lisek. — Pięć kilometrów.

Za chwilę z zadowoleniem patrzy na siebie już wewnątrz Fiata. Głos Maryli Rodowicz rozlega się z samochodowego radioodbiornika: „Sing Sing ma koleżków trzech, takich spotać nocą to jest pech”...

Blaszczyk medytuje nad gazetą. Ma twarz zatroskaną. Przelewa herbatę z kubka do kubka.

— Stefan, przecież już ostygła... — Helena, co ty na to? — Na co? — Jak to na co?

Rozgląda na stole przed sobą szeroko płachtę gazety. Palcem wskazującym jednej ręki przyciska gazetę w miejscu ogłoszenia o amnestii, palcem wskazującym drugiej ręki przyciska gazetę w miejscu ogłoszenia o zatrudnieniu robotników sezonowych.

— A to się fatalnie zbiegło — podnosi głowę i patrzy w oczy małżonki. — Ty wiesz, ile wypuszczono dzisiaj niebieskich ptaszków? —

Blaszczykowi zbliża się do stołu, patrzy na rozłożoną gazetę, na wskazujące palce Blaszczyka.

— Ty myślisz, że coś z tego wynika? — Jak to?, zrozumię kobietę...

Blaszczykowi zbliża się do stołu, patrzy na rozłożoną gazetę, na wskazujące palce Blaszczyka.

— Ty myślisz, że coś z tego wynika? — Jak to?, zrozumię kobietę...

Blaszczykowi zbliża się do stołu, patrzy na rozłożoną gazetę, na wskazujące palce Blaszczyka.

— Ty myślisz, że coś z tego wynika? — Jak to?, zrozumię kobietę...

Blaszczykowi zbliża się do stołu, patrzy na rozłożoną gazetę, na wskazujące palce Blaszczyka.

— A zna pan Blaszczyków? — Ja też do Blaszczyka — wtrąca dziewczyna.

Kierowca marszczy czoło, ale po chwili kojarzy sobie.

Samochód rusza i wjeżdża na podwórkę.

Blaszczykowi rozjaśnia się w głowie:

— To można odwołać. — Ogłoszenie można odwołać? — Helenko?... To już w świat poszło... — Ja myślę, że tacy przestępcy roboty nie będą szukać... — To pewnie racja... — Blaszczyk zamyślony drapie się po czoło. — Coś gorszego do głowy mi przyszło.

Blaszczykowi pochyla się nad gazetą. „Na własne oczy” to musi przeczytać. Blaszczykowi ta myśl nie daje już spokoju:

— Oni jak wyjdą z więzienia, to pewnie myślą, kogo by tu okraść... —

Drzwi się otwierają. Wchodzi kierowca Fiata. Słowa powitania. To syn Blaszczyków. Rzucił na stół gazetę, której inny egzemplarz przed chwilą czytał Blaszczyk.

— Wreszcie się ukazało, chociaż trochę trzeba było czekać — wskazuje ręką za siebie, gdzie w drzwiach Bambino, Lisek i dziewczyna — a oto plon ogłoszenia. Pan Stasiak, pan Opiński i pani Magda. Myślę, że zadowolony tata...

Następuje chwila ciszy. Takiego obrotu sprawy Blaszczyk nie przewidywał. Zarówno on, jak i jego żona, nie mogą przełamać bezruchu, w jakim zastępy ich ciała.

— A to jest — młody Blaszczyk wymiata dyplomatkę mały przedmiot, stawia go na stole — mój prezent z Berlina — zwraca się w stronę Magdy — gdzie byłem na stypendium.

Po chwili przedmiot, postawiony na stole, zaczyna wydawać mechaniczny, niesłychanie zaraźliwy odgłos śmiechu.

Dalsze poznanie następuje podczas późnego obiadu, podczas spożywania drobiu. Blaszczykowie jedzą drob palcami, Magda, Lisek i Bambino łyżkami.

— No jak tam idzie robota? — nawiązuje Blaszczykowi.

— Planowo idzie, planowo — odpowiada Lisek.

— No i co tam jeszcze widziałeś za granicą, synu? — Dużo widziałem, tata, nawet nie wiem od czego zacząć... —

— Siega do talerza z borówkami, podsuwa go Magdzie. — Może boróweczki, pani Magdu, u nas się tak jada... ale wracając do zagranicy, żeby was sprawami nauki nie zanudzać to w Berlinie jest taka wieża telewizyjna, cienka jak iglica, nie więcej niż kilka metrów grubości. Tyle tylko, że się w środku mieści winda. I tam, na czubku tej wieży, dwieście metrów wysoko, znajduje się restauracja...

— Ta wieża się nie chwieje? — pyta Blaszczykowi.

— No pewno, że się trochę chwieje, ale nie chciałbym zanudzać sprawami nauki — spogląda w stronę Magdy — gdyby się nie chwiała, mogłaby się przewrócić, a tak nastę-

puje w materiale pewna amortyzacja, która...

Z talerza, na którym je Bambino, ucieka kurcze udko. I on jadyby chętnie rękoma, ale fakt, że dziewczyna je nożem i widelcem, mu na to nie pozwala. Krótki moment skrzyżowania spojrzeń i ukradkowego śmiechu w oczach Magdy.

— Pewnie budowali Szwedzi... — Słucham, tato? — Pewnie tę wieżę budowali Szwedzi, tak jak u nas Forum... — Nie o tym nie wiem..., ale nie przypuszczam... —

— Ci Niemcy to schludny naród — wtrąca Blaszczykowi.

— To mogę potwierdzić. Maja kilka dobrych wynalazków. Na przykład gastronomia... piwo to oni piją na takich tekturkach, inaczej mówiąc na takich tekturowych podstawkach. I dzięki temu stół się nie niszczy... — Co naród, to obyczaj — stwierdza stary Blaszczyk.

— Nie o to chodzi, tato, to by można nazwać zmysłem praktyczności... i to jest sprawa, która można by z pożytkiem przeszczeplić na grunt polski... — Przez chwilę wszyscy milczą. — A teraz trochę humoru. Znam nową serię dowcipów o Jasiu, na przykład: „Mamusia! Idź Jasio, kup pięć kilo ziemniaków. Jasio: mamusiu, w czym przyniosę? Mamusia: w czapeczce”.

I znów chwila milczenia. W tej ciszy rozlega się tylko szczyry śmiech młodego Blaszczyka, który, wyjaśniając dowcip, pokazuje rękoma, jak wielka musiała być głowa Jasia.

— O Jasiu to ja też znam dowcip — włącza się Lisek.

— To niech Stasiak opowiada — zachęca gospodarz.

— Poszedł Jasio z Magdą do lasu, Magdusia na mchu się kładzie i mówi do Jasia: ale połóż koło mnie Jasio, to się nie połóżysz. I Jasio się połóż. A wtedy Magdusia: ale rozebrać, to mnie Jasio nie rozbieziesz. I Jasio ją rozebrał. A wtedy Magdusia: ale krzywdy to ty mi Jasio nie zrobisz. I Jasio złamał jej rękę...

Głośno śmieje się młody Blaszczyk, ukradkowo Magda, a gospodarz tak jak przystoi. Ten ich śmiech przekształca się na twarzach w powagę i konsternację.

Mały pokój, w którym zostali umieszczeni, to prawie pakamera. Okno, w równie małym, mieszka Magda, a jeszcze obok mieści się sypialnia Blaszczyków. Wszystkie te pomieszczenia zajmują piętro nowo postawionego domu. Jest noc. Bambino siedzi na przyści, Lisek na prowizorycznym, rozkładanym łóżku.

— Czegoś mi tu brakuje... — marudzi Lisek.

— Niedobrze ci?... Byś się nie wyglupiał...

Lisek dokonuje w swoich kieszeniach przeglądu inwentarza. Najbardziej ciekawym przedmiotem: szklanka, izolowany przewód elektryczny bez wtyczki, starannie zwinięte w papier niedopalki papierosów. Z kieszeni na pierśiach wyjmując dwie żyłki.

— Wszystko starannie układa na łóżku. — Wiesz o czym myślę Lisek? No zgadnij.

— O pieniądzech — Lisek zaśmiał się krótko. Kładzie w usta wybrany niedopalek, zapala.

— Nie zgadłeś. Nie o pieniądzech. — To pewnie o tej obok. Podobna ci się gada...

— Tak sobie — Bambino odpowiada z przekora — raczej słaba... — No to o czym myślisz? — Myślę o „Szeniu”.

— A ja o nim nie myślę. Przestałem go uważać za kumpla... Lisek wyciąga kabel do kontaktu. Na podłodze obok ściany stawia szklankę napełnioną wodą. Wyjmując kabel z kontaktu, konstruuje grzałkę, złożoną z dwóch żyłek, równoległe ustawionych w szklance napełnionej wodą. Bambino przypominał sobie:

— Szpenio mi nawinął, że da nam cynk o skoku.

— A ty dalej nogę ze strachu.

W szklance zawrzała woda. Lisek wysypuje do niej całą paczkę herbaty Ulung.

— Wolalby go już więcej nie spotkać — przyznaje Bambino.

— Nie bój się. Spokojna głowa. Tu nas nie wykupuje. Lisek bierze szklankę herbaty czarnej jak smoła i siada na swoim łóżku.

— Chcesz tyka? — Odkał wyszedłem, do ust nie wezmę takiego czaju. Lisek siedzi na łóżku. Smakuje herbatę wolno, trzymając szklankę z uwagą, aby się nie oparzył. Po upływie pewnego czasu podchodzi do szklanki do okna, otwiera je i wylewa płyn na zewnątrz.

W pokoiku Magdy pod ścianą łóżko, obok niego taboret. Magda wyciąga przez okno. Czarno. Podchodzi do drzwi, przybliża do nich ucho. Nasłuchuje. Przekręca klucz umieszczony od wewnątrz w zamku. Wraca na łóżko. Siada. Otwiera torebkę i wyjmując z niej napoczęta paczkę zagranicznych papierosów. Spogląda do środka. Potrząsa przy uchu. Kładzie paczkę na taborecie. Wyjmując inną, także napoczęta, także zagraniczną. Znajduje w niej jednego papierosa. Zapala go. Teraz wyjmując z torebki lusterko, Paill i przegląda się.

Próbuje w jaki sposób najbardziej twarzowo jest trzymać papierosa. Po chwili wyjmując jeszcze kilka paczek po zagranicznych papierosach, przetrząsa je i ustawia przed sobą na taborecie. Robi to skrupulatnie i z pełną uwagą.

Łóżko nie stoi bokiem do ściany, ale przylega do niej głowami, tak jak zwykle się kiedyś ustawiały małżeńskie łóżka. W nim Blaszczyk i Blaszczykowi. Po jego obu stronach krzesła, na których zawieszono są ubrania. On śpi, ona leży z otwartymi oczyma. Trąca męża.

— Stefan... ty śpisz? Stefan?... Zamięliśmy się stronami, bo nie mogę zasnąć.

Blaszczyk budzi się. „Zmieniają się stronami” w ten sposób, że Blaszczykowi przesuwa się pod wyprężonym ciałem Blaszczyka. Następuje chwila spokoju.

— Wiesz Stefan, myślę o tym Jasiu... — O jakim znów Jasiu? — Jak to?... Nie pamiętasz?... O tym co dziewczynie rękę złamał... — Daj spokój, to kawał.

— Dla kogo kawał, dla tego kawał. — Sama się śmiałaś... — Śmiałam się, bo to kawał... — No to dlaczego mnie budzisz?... — Bo nie mogę zasnąć... — Blaszczykowi w milczeniu myśli skupia.

— Stefan, zasnaleś?... Jak myślisz, czy to może być kawał z życia?... — Głostwa opowiadasz, zmyślona historia... — Nieważne, że zmyślona, ale kto ją wymyślił... — Wymyślają ludzie.

— A jeśli taki kawał wymyślił przestępca?... — Przestępca kawałów nie wymyśla.

— A ja sobie myślę, że kto taki kawał wymyślił, to może i wykonać...

Blaszczyk nie odpowiada.

— Stefan... zamięliśmy się stronami, bo nie mogę zasnąć.

Jest to ceremonia, która może sprawić wrażenie stałego manewru.

Gospodarstwo Blaszczyków składa się z nowo pobudowanego, piętrowego domu, nowego, kilkunastopiętrowego budynku gospodarczego i starej chałupy. Nie opodal, niczym zabytek, stoi drewniany ustep, przy którym kręca się Lisek i Bambino. Zajęci są rozbiieraniem kłosa. Odrzuwają zeń listwy drewniane. Bambino uderza szpadlem w ustep. Senny, stary wyluz obserwuje ich pracę z boku.

— Nie niszczy — przysgadamu Lisek. — Blaszczyk kazał, żeby drewno sortować.

— Najlepiej by to podpalić i kłopotu nie ma.

— Rób co kazał.

Z podwórza, zza budynku gospodarczego, dochodzi warkot Fiata. To młody Blaszczyk majstruje przy silniku. Lisek wyciąga w kierunku Bambino rękę z paczką papierosów.

— Przed każdą robotą trzeba się zastanowić.

W milczeniu obchodzą ustep dokola. Bambino przerywa ciszę: — Najlepiej by zacząć od dachu... — Nie od dachu, do tego potrzebna drabina...

W budynku gospodarczym Blaszczykowi krowom elektryczną dożarkę przystawia. Magda splukuje cementową podlogę za pomocą strumienia tryskającego z gumowego węża.

Na podwórku młody Blaszczyk „gazuje” stojący na luzie samochód. Przed kołem Fiata wąż gumowy, który prowadzi od hydrantu do budynku gospodarczego. Samochód powoli rusza i zatrzymuje się przednim kołem na gumowym wężu.

Magda odruchowo zagląda w konicie ręki, z której przestała tryskać woda. Ale w tym momencie wystrzela z przewodu strumień prosto w oczy, więc wypuszcza wąż i ociera twarz rękawem.

A na podwórku samochód rusza wolno i najędźża na przewód tylnym kołem.

Magda ociera twarz rękawem i mówi do Blaszczykowi:

— Ta woda leci nierównomiernie. — Jak, nierównomiernie?

Blaszczykowi podchodzi do leżącego na podłodze węża. Podnosi go, machinalnie zagląda w przewód. Strumień wody tryska w twarz Blaszczykowi, która, odruchowo odwracając od siebie, skierowuje go na dziewczynę.

A młody Blaszczyk swoim samochodem na podwórku kury i kaczkę przeganiania. Nagle zauważa, że z budynku gospodarczego wychodzi Magda. Więc zwalnia trochę i próbuje nastraszyć Magdę, najędźżając na nią. Dziewczyna z krzykiem ucieka, a on przeganiania ją po podwórku. W ucieczce odwracając głowę, widzi w samochodzie jego roześmianą twarz.

(c.d.n.)

ardziej
osa. Po
paczek
prze-
na na
ie i z

ściany,
tak
mal-
czyk i
ronach
ne sa
otwar-

... Za-
moge

aja się
Blasz-
prezo-
stepuje

m Ja-
... O
al...

kawał.

al...
Blasz-
skupia.
nyślisz,
?...

ysłona
le kto

myślił

wymy-

o tak!
onać...

onami,

może
newru.

składa
rowego
j cha-
bytek,
tórym
Zajęci
ja zeń
iderza
w wil-
oku.
Lisek,
o sor-

l-ko-

doko-
Naj-

trzeb-

Blasz-
dojar-
cie ce-
stru-
owego

szczyk
ochód.
mowy,
o bu-
d po-
ednim

w ko-
yskać
strze-
o ciera

rusza
wlym

i mó-
nie.

żające-
si go,
ewód.
Bla-
dwra-
go na

amo-
czki
z bu-
chodzi
pró-
żając
ucie-
órku.
widzi
niana

d.n.)

zdarzenia i zwierzenia

Pisząc przed paroma tygodniami o doniosłości takiego dokumentu literackiego, jak wywiad z pisarzem, nie przypuszczałem, że o to „Czytelnik” daje nam jeszcze jeden wspaniały dowód tej tezy. Myślę oczywiście o pasjonującej książce Adama Galisa „Poszukiwacz prawdziwej rozmowy”.

Są to wywiady z czołową polskiej literatury, publikowane przez Galisa w latach trzydziestych na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”. Prawie pół wieku dzieli więc nas od tych rozmów. Dziś czytamy je bogatsi o te lata, bogatsi o wiedzę i dorobek rozmówców.

Wrażenia są zaskakujące. Oto w roku 1933 Michał Choromański mówi: „Obecnie pracuję nad dwutomową powieścią, której pierwsza część nosić będzie tytuł „Schodami w górę”, a druga „Schodami w dół”.

Miłośnicy twórczości tego pisarza wiedzą, że powieść „Schodami w górę, schodami w dół” ukazała się w... 34 lata

PRAWDZIWE ROZMOWY

po owej zapowiedzi. W międzyczasie była jedna z najokrutniejszych wojen, kilkunastoletnia emigracja Choromańskiego na antypodach, narodzili się i umarli style i konwencje literackie, a zamysł pisarza zawoocował prawie u kresu jego życia tą intrygującą, nastrojową powieścią. Zdumiewająca, podziwu godna konsekwencja.

Pisałem kiedyś w tym miejscu felieton o felietonie, w którym wyraziłem pogląd, że felietonista powinien bardzo dużo czytać, niejako za swoich czytelników. Z ciekawością więc zacząłem czytać wywiad z Zygmuntem Nowakowskim — księciem polskich felietonistów międzywojnia. Oto, co Nowakowski mówił w roku 1933 o felietonie: „Zapytała mnie kiedyś służąca Wikusia, która jest u nas od trzydziestu lat, na co mi tyle książek? Odpowiedziałem jej: „Bo, widzi Wikusia, ja muszę te książki przeczytać za wszystkich moich czytelników”. I tu mieliśmy się tajemnicza rola felietonisty”.

Mijają lata, style, gazety, a podstawowe, fundamentalne prawdy nigdy się nie starzeją i wciąż na nowo dochodzą do wniosków i odkryć, które

dawno już zostały sformułowane i odkryte.

A oto inna rozmowa z lat trzydziestych, zacytowana „Jarosław Iwaszkiewicz miał wtedy czterdzieści lat”. Pisze Adam Galis: „Mieszkanie zrobiło na mnie tak silne wrażenie, że po tylu latach widzę, jak za mgłą, jego osobliwą konstrukcją. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, były tam dwa pokoje, zaś drugi pokój składał się z dwu kondygnacji. Jakby pokład statku wchodziło się po schodach do kabiny z okrągłym, oszklonym lukiem w ścianie (...). A całe mieszkanie oświetlały jasnobełkitne, czy może jasnozielone ściany i sufity”.

Jest rok 1934 — Jarosław Iwaszkiewicz zapowiada nową powieść współczesną: „Będzie się nazywała „Garaż Męki Pańskiej”. Będzie to współczesna powieść psychologiczna. Sa w niej reprezentowane wszystkie warstwy społeczne. Całość pomyślana jest, jak fresk malujący współczesną rzeczywistość polską...”.

Nie pamiętam takiej powieści, ale co się za tym tytułem kryje? Może „Pasje błędmierskie”, wydane cztery lata póź-

niej, a może wspaniała trytomowa epopeja „Sława i chwala”, wydana po przeszło dwudziestu latach?

Książka Adama Galisa zawiera wiele zagadek i mnóstwo bezcennych informacji. Czytamy ją dziś, jak relację z epoki bardzo odległej — i jest to relacja historyczna. „Jestem socjalistą” — mówi Antoni Słonimski, marzeniem Kazimierza Wierzyńskiego jest twórczość... prozatorska, napisanie powieści, wybitny krytyk Karol W. Zawadzki mówi: „do krytyki doszedłem przypadkowo...”. I okazuje się, że Zawadzki interesował się sprawami... finansowymi — jako pierwszy proponował w 1924 roku stworzenie dwu walut polskich, jednę przeznaczoną dla obrotu wewnętrznego i drugiej dla obrotu zewnętrznego... Zdumiewające, prawda?

I tak, strona po stronie, rozmowa po rozmowie, odkrywamy w książce Adama Galisa sprawy pasjonujące, intrygujące, niezmane.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH MIROSŁAW KUŹNIAK



Teść z teściową — rysikiem
Mirek z Dorotką — długopisikiem.
Rys.: Stanisław Ibis-Grakowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

W paru pismach — z „Zyciem Warszawy” na czele — znaleźliśmy niedawno coś w rodzaju podsumowania akcji, dyskusyjnej parę lat temu, a mającej na celu podniesienie i oparcie na naukowych podstawach zarządzania gospodarką narodową, czy w ogóle: zarządzania jako takiego. W wyniku tej akcji powołano bardzo poważny instytut, zorganizowano systematyczne szkolenie dyrektorów i menedżerów, wydano wiele uczonych dzieł. Zarówno publikacje książkowe, jak prasowe, stoją na bardzo wysokim poziomie, wykładami kursów są świetni specjaliści.

Specjalista pisze na przykład: „Są problemy, dla których rozwiązania nie wystarcza ta czy owa metoda lub technika

SIEDMIU NA JEDNEGO

organizacyjna. Potrzebne są wtedy decyzje nadsterowne. Oczywiście im jest ich więcej, tym mniejsze jest zapotrzebowanie na metody. O ile liczba decyzji nadsterownych przekroczy dopuszczalny pułap, wówczas proces staje się podsterowny i obiekt może nawet wpaść w dryf” (z artykułu A. Targowskiego w „Przeglądzie Technicznym” nr 3 z bieży roku. A. Targowski to autor m. in. książki „Informatyka, klucz do dobrobytu”). Jest to pisanie specjalistyczne, przeznaczone dla pięciu profesorów informatyki i teorii zarządzania. Dyrektor Gminnego Punktu Skupu Jaj i Dyrektorka Przedszkola (to nie dowcip, takie tytuły obowiązują), osoby niewątpliwie zarządzające jakimś zespołem ludzkim oraz jakąś wartością materialną, u znają po przeczytaniu, że u nich liczba decyzji nadsterownych przekroczyła pułap, a obiekt stał się podsterowny,

wejda wobec tego w dryf i ich zapotrzebowanie na metody spadnie do zera.

Mało kto sięgnie po kwartalnik „Praksekologia”, gdzie w 47 numerze z 1974 roku, poświęconym w całości teorii zarządzania, inny wybitny specjalista, profesor Stanisław Kowalski, kończy swe rozważania o zarządzaniu tak:

„Według oficjalnych danych mamy w Polsce około 700 tysięcy stanowisk kierowniczych różnych szczebli i typów instytucji. Ponadto na jednego kierownika przypada 7 odrębnych instytucji lub osób mających prawo wydawania mu decyzji. Wniosek jest prosty: kierownik znaczną część czasu poświęcającą nie podwładnemu, lecz innym kierownikom”.

Jeżeli dobrze rozumiem całą problematykę, to mamy tu właśnie stwierdzenie generalnej „nadsterowności” naszego zarządzania, a w tym stwierdzeniu implicite generalną ra-

dę: zmniejszyć ilość decyzji, walcząc się na głowę każdemu kierownikowi, dać mu po prostu więcej czasu na zajęcie się podwładnymi. Czyli jeszcze raz wraca stara prawda: styl zarządzania jest zależny od organizacji aparatu gospodarczego lub administracyjnego, a nie odwrotnie. Dyrektor zjednoczenia znacznie więcej czasu spędza w gronie dyrektorów departamentów i innych zjednoczeń, niż z podległymi mu naczelnikami własnego zjednoczenia. Raz na parę lat jedzie tenże dyrektor na kurs dokształcający w zakresie — powiedzmy — psychologii pracy, filozofii awansu, socjologii różnób personalnych, a potem wraca i znów uczęszcza do resortów, nie znając nadal swych podwładnych.

Oczywiście — to nie jego winna. To taki dryf po przekroczeniu pułapu.

ĆWIEK

propozycje

Była sobie kiedyś kawiarnia „Kaczką dziwaczka”, która teraz zmieniła się w „Pizzerię”. Dla kogoś, kto popatrzy na ten fakt z zewnątrz sprawa może sprowadzać się do zmiany nazwy. Swojskiej na zagraniczną. Trzeba jednak wejść do środka, usiąść przy stole, zamówić „pizzę z pomidorami” lub „pizzę z kiebasą” i rozemrzeć się po wnętrzu, aby stwierdzić, że dokonana się też zmiana jakościowa. To zupełnie inny lokal, pomysłowo udekorowany. Być może komuś wewnątrz tego lokaliku nie będzie się podobało, mnie się podoba.

Przysłowie wszakże głosi, że jedna jaskółka wiosny nie czyni i przysłowie — jak zwykle — ma rację. Jedną „Pizzerię” przy rogu ulicy Piotrkowskiej i ulicy St. Wigury gastronomicznej wiosny też jeszcze nie czyni. Nie czynia jej również dwie folklorystyczne restauracje: „Natasza” i „Pest”. A przydałaby się nam taka wiosna. Jak niedawno donosił „Dziennik Popularny” w Poznaniu zakwitła ajencyjna gastronomia. Powstało wiele małych, ładnie urządzonej lokalików, w których można szybko coś zjeść, wypić, posilić się w przerwie codziennej bieganiny po mieście lub nawet odpocząć przez kilka chwil po pracy.

AJENT W KAFEJCE

Coś podobnego zaczyna dziać się w Warszawie i Aleksander J. Wierzyński narzeka w „Literaturze”, że na Starym Mieście „kafelki” wyrosły jak ajencyjne grzyby, jedna obok drugiej, zabarzone sięgając po każdy parteryowy lokal nadający się do adaptacji na knajpę”. W Łodzi nie mamy powodów do narzekania. Przeciwnie, narzekamy raczej na brak kafelków. I podsuwamy władzom miasta sugestie, że byłoby lepiej, gdyby więcej było w mieście małych lokalików, gdzie można byłoby wpaść na kilka chwil na jakąś dobrą — a jeszcze lepiej — ulubioną potrawę.

Mieliśmy w Łodzi deficyt miejsc w restauracjach, bo i restauracji było mało. Podobnie zresztą jak miejsc w hotelach i hotelu. Zmieniło się. Nie jesteśmy jeszcze w sytuacji idealnej, ale można mieć nadzieję, że zbliżymy się do niej w niedługim czasie. Tyle tylko, że o poprawie sytuacji gastronomicznej miasta zdecydowały przede wszystkim hotele, ich restauracje i kawiarnie. A chodziliby o to, aby równocześnie powstały także własne kafelki, które zdenerwowałyby A. J. Wierzyńskiego i których zażyczyłby sobie Poznań. A. J. Wierzyński ma powód do zdenerwowania, skoro salon płytowy zamienia się w knajpę. U nas takich zmartwień nie ma. Sądzę jednak, że przewidując i u nas rozwój ajencyjnej gastronomii warto pamiętać o niepokojach

wyrażonych przez felietonistę „Literatury”.

Na temat geografii handlowo-gastronomicznej wypisano już u nas kilka długopisów. Porządkując się tę sieć w miarę możliwości, głównie w centrum miasta. I słusznie. Ale w trakcie tego porządkowania trzeba pomyśleć też o małej gastronomii. Dla wygody klientów, rzecz jednak nie polega na tym, aby kawiarnie zamieniały w „pizzerie”, ale aby obok kawiarni i restauracji już istniejących tworzyły nowe kafelki. Rejon skrzyżowania ulicy Piotrkowskiej z ulicą Główną zmienia się powoli w wielkomiejskie centrum handlowe. W rejonie tym nie bardzo jest gdzie i co zjeść. Nie każdego stać bowiem na obiad w restauracji hotelu „Światowit” i nie każdy ma czas wycieczkiw godzinami na obiad w „Europie”.

W secesyjnej kamienicy przy rogu ulicy A. Mickiewicza i al. T. Kościuszki powstał mały lokalik „Przymak”. Nie spełnia on jeszcze należycie swej roli, gdyż skromnie ukryty w suterenie po sklepie spożywczym, skromnie wyposażony i ze skromnym jadłospisem nie budzi większego zainteresowania. A bardzo jest w tym rejonie potrzebny. Gdyby więc obok kaszanki, kurczaków i bigosu gastronomiczne serwowano tam jeszcze jakiś atrakcyjny i smakowity specjal to — przy poparciu tego atrakcyjna

reklamą — byłoby już bliżej do ideału.

Gastronomia kieruje się przede wszystkim naczelnym zdaniem — zaspokajając potrzeby tych, którzy chcą w restauracji zabrać się, dobrze zjeść, mając dużo na to czasu, albo chcą w restauracji wyprowadzić miłośnika, czy coś tam jeszcze. Jest to niewątpliwie słuszny kierunek. Obok tego wszakże potrzeba jeszcze troski o tych, którzy zaganiani, załatwiający swoje interesy, biegnący po centrum — i nie tylko — za zakupami, chcieliby przysiąść na chwilę, posilić się, odpocząć.

W każdej dziedzinie zresztą, a więc i gastronomii, radykalnym rozwiązaniem jest różnorodność. I chyba dla uzyskania tej różnorodności trzeba wykształcić ajentów. Ich inicjatywę, pomysłowość, chęć wykazania się i osiągnięcia pewnego profilu. Ajencji w handlu wrócić jeszcze nie zrobił rewolucji i być może jej nie zrobią, ale pokazali już, że można nawet w obecnych warunkach postarać się o urozmaicenie towarowej propozycji dla klientów. W gastronomii można uzyskać tą drogą podobny wynik. Nie tylko można, ale trzeba.

MARCIN RODAK

BYŁ TAKI CZAS...

Płk Stanisław Walaś, „Zdych”, ur. w r. 1919 w Zarkach, od lipca 1942 roku był współorganizatorem PPR, GL i AL na Śląsku, a następnie dowódcą oddziału partyzanckiego AL im. Jarosława Dąbrowskiego, szefem sztabu Obwodu AI Śląsk i dowódcą Okręgu AI Chrzanów, awansując w roku 1944 do stopnia majora. W walce z okupantem dał się poznać jako inicjator i dowódca wielu śmiałych akcji bojowych i dywersyjnych. Po wojnie kierował Powiatowymi Urzędami Bezpieczeństwa Publicznego w Chrzanowie, Limanowej i Nowym Sączu, był naczelnikiem Wydziału III WUBP w Krakowie, później stał na czele wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa w Kielcach, Białymstoku i Krakowie.

W r. 1965 ukazała się jego pierwsza książka, „Partyzanckie noce”, w której zawarł wspomnienia z czasów okupacji hitlerowskiej. Cztery lata potem S. Walaś opublikował następną książkę, „Był w Polsce czas...”, w której opisał walkę o utratę władzy ludowej w Polsce lat 1945—1952. Oparta na własnych przeżyciach autora, dokumentach archiwalnych i rozmowach z uczestnikami walk z tamtych czasów, przynosi szeroki obraz przemian zachodzących wówczas w naszym kraju i pozwala zrozumieć ich sens. Książka ta w r. 1971 ukazała się w przekładzie słowackim, a jeden z jej rozdziałów stał się podstawą scenariusza filmu fabularnego pt. „Krótkie życie”, w reżyserii Z. Kuźmińskiego. W r. 1973 S. Walaś otrzymał za obie wymienione tu książki nagrodę ministra obrony narodowej w dziedzinie literatury.

W r. 1974 wyszła jeszcze jedna książka tego autora — „Świadectwo tamym dniom...”, przynosząca relację z lat walki z reakcyjnym podziemiem w Krakowskim, Kieleckim i Białostockim. Aktualnie ukazało się trzecie już wydanie książki „Był taki czas...”, — dokumentu lat walki o utratę władzy ludowej.

Stanisław Walaś, „Był taki czas...”, Wyd. Literackie, cena zł 80.—

NOCE BEZ ŚWITU

Wspomnienia Mieczysława Szachewicza „Noce bez świtu” otrzymały trzecią nagrodę na konkursie zorganizowanym przez Muzeum w Oświęcimiu. Jest to jeszcze jeden dokument mówiący o zbrodniach popełnionych przez hitlerowców podczas ostatniej wojny. Do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Bremen, Neuengamme, Schandelah i wielu innych przywieziono więźniów ze wszystkich podbitych i okupowanych krajów. Tylko nielicznym udało się wyjść na wolność — jednym z nich był Mieczysław Szachewicz.

Nie jest to pierwszy pamiętnik o tej tematyce, a jednak wciąż jest to lekura wstrząsająca, autentyczny dokument ponurych lat okupacji. Nie jest to tylko osobisty pamiętnik Szachewicza. Autor mówi także w imieniu tych, którzy nie przemówili już nigdy.

Mieczysław Szachewicz „Noce bez świtu”, Wyd. MON, cena zł 30.—

WEDŁUG LOTRA

Adam Wiśniewski-Snerg jest autorem wydanej w 1973 roku powieści „Robot”, która uzyskała pierwsze miejsce w plebiscycie na najciekawszą i najbardziej wartościową książkę z gatunku science fiction wydaną w Polsce w połowie lat trzydziestolecia. Utwór ten fascynował czytelników rozmachem literackiej wizji i rozległości wiedzy z zakresu humanistyki, współczesnej kosmologii i fizyki teoretycznej, antropologii i biologii.

Z oryginalnego pomysłu zrodziła się również druga książka Adama Wiśniewskiego-Snerga, powieść fantastyczna „Według lotra”, w której — w zamysle autora — metaforycznym obrazem świata ma być wielki plan zjednoczenia, gdzie według scenariusza nawiązującego do tradycji, stworzonego przez ludzką myśl, realizowany jest gigantyczny film, a każdy z występujących w nim uczestników musi odegrać wyznaczoną rolę.

Adam Wiśniewski-Snerg „Według lotra”, Wyd. Literackie, cena zł 20.—

MAGAZYN kulturalny Nr15

Ludzie pytają: — Skąd pan bierze te swoje prawdziwie nieprawdopodobne historie?
 Ołóż, z życia biorę.
 O napadzie na urząd pocztowy w B. dowiedziałem się z nekrologu w gazecie. „Tragicznie zmarła na posterunku pracy została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski” — przeczytałem i zaraz

lonej Góry usłąpił mi szmaranek pierwszeństwa na moście w Stubicach. Jemu więc zawdzięczam, że w sylwestrową noc 1972 roku pierwszy przekroczyłem granicę Polski i NRD, a zdjęcie moje „Trabanta” obiegło całą prasę...
 Stary, ale dzisiaj na omentarzu zdarzył się numer... — usłyszałem w słuchawce znajomy głos Karola R. — Grabarze tak byli

ZADZWOŃCIE DO TUROWSKIEGO!

zadzwoń do KW MO. Mjr. A. też był zdziwiony, że wiadomość o napadzie doszła już do prasy...
 Gwiazde ekranu lat pięćdziesiątych, Basie Kwiatkowską poznałem na kolacji w „Malinowej” po meczu bokserskim Polska — Austria. Została przypadkowo znaleziona przez mnie, nikomu jeszcze wtedy nie znana uczennica warszawskiej szkoły baletowej, która przyjechała do Łodzi na próbną zjawkę do filmu „Ewa chce spać”...
 Dr Lidia Gabalówna z Muzeum Archeologicznego i etnograficznego powiedziała mi, że w starej książce jest wzmianka o wielkim skarbie zatopionym w jeziorze w Sadłuzku na Kujawach. Niestety, dotąd skarbu nie udało się wyłowić...
 Złożyłem ofertę na ogłoszenie: „Poszukuję mężczyzny, który w 1950 roku malował mieszkanie przy ul. Francuskiej 15”. Autorka literatu odniosła motywy, które zdecydowały, że prawie po 30 latach postanowiła odnaleźć owego mężczyznę. Uwiłdł ją, gdy miała 14 lat...
 Dientelmen w „Syrenie” z Zie-

pijani, że wyrzucili z trumny nieboszczyka. Wdowa zemstała z wrażeń. Tylko grabarze nie stracili zimnej krwi, otrzepali zmarłego i na powrót ułożyli w trumnie. Krystyna zaraz powie, działa! Najlepiej zadzwoni do Turowskiego, on to na pewną opisie — spointował mój rozmówca. Choć doskonale wie, że po to mam telefon, aby każdy kto chce do mnie dzwonił. Nie wieżycie? Oto numer: 438-37.
 Gdy nie ma nikogo, zgłasza się automat...
KONRAD TUROWSKI

MIECZYSLAW M. SZARGAN
ŁATKI ADRESATKI
 NA KSIĄŻKĘ REPORTAŻY KONRADA TUROWSKIEGO
 „Prawdziwe nieprawdopodobne” —
 Dobrze!

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ” świadczy usługi dla ludności

Otwieramy dzisiaj kącik porad poetyckich, dlatego rekomendacja Prezesa będzie tym razem krótsza. Przyjmujemy w poczet członków pana Andrzeja KRAKOWSKIEGO z Łodzi. Wybrałmy dynamiczny wiersz „Tornado”, aby podkreślić, że kontuzja autora („od kilku miesięcy jestem unieruchomiony gipsiem biodrowym” — napisał do nas), nie ma większego wpływu na jego życie duchowe.
 Łączymy pozdrowienia —

PREZES

TORNADO
 Autor
 Czasami chwycić mnie taka złość, i pierś mi taką siłą wzbiera, że mieczem świat ten bym kłuił na wskros i targalbym i poniewieriał...
 Wyrwałbym z ziemi tysiące drzew, kamienne żarniki bym rozbił, zdusiłbym każdy wesół śmiech, nikogo w gniewie bym nie mijał...
 Nie pytałbym już: przyjaciel? żadne by lzy mnie nie wzruszyły, wszystko bym zwałł pięścią z nog, z wszystkiego bym wypruwał żyły...
ANDRZEJ KRAKOWSKI
 11.04.74.
 Patulice.

Cóż mi to niszczyć łańcuchy gór? Cóż mi to krew niswinną chłiepać? Cóż mi to pulchne baranicy chmur rozdierać i nogami deptać...
 Nieraz wpadałem już w taką złość, by zniszczyć świat w marzeniach swoich, lecz zawsze zjawiał się lepszy ktoś L... pstryczkiem w nos mnie uspokoił
ANDRZEJ KRAKOWSKI
 11.04.74.
 Patulice.

PORADNIK LITERACKI

Kącik porad literackich. Jest zarazem i nową formą usług naszej Spółdzielni i próbą zaproszenia do dialogu tych wszystkich, którzy wstydlwie z tekstami się noszą i nie myśląc nawet o druku chętnie by przeliec o swych wierszach porozmawiali. Zachęcamy do tej rozmowy.

Andrzej K., Łódź
 Zdaje się, że z niejaka ironią myśli Pan o receptach na „dobrą poezję”, z których jedną Pan przytacza w liście do Redakcji („rytm, rytm, miłość do Ojczyzny”). Ba, gdybyśmy choć mieli tych recept więcej, można by potem rozważać, które są słuszne.
 Dla Pańskich tekstów znalazłbym może nie receptę (bo nie terapia w tym przypadku najważniejsza) a regułę: dążenie do egzotyki sięgające od warstwy tematycznej po słowną. Patagonia, Orinoko, indyjskie zabawy (tematy poetyckie) są paralelnie do „egzotycznego”, magicznego słowa. Niektóre Pańskie wiersze zakorzenione są trochę w tradycji Leśmiana, a trochę też chyba w awangardowym „słowiarstwie”. Choćby ten fragment:
 Na bezprawdziu półprawdzie brzmi słodko
 Konieczna się czyni do koni...
 Potrafi Pan wysmakować słowo. Jest w wierszach Pana sporo pasji i to nie bez konsekwencji formalnych: brak tu miejsca na dokładniejszą analizę wersyfikacji tych utworów, są one pod tym względem dość obiecujące. Gdybym miał wybierać do Spółdzielni (i nie tylko Spółdzielni) tekst z przesłanych, wybrałbym nie pozabawiony autoironią utwór „Tornado”.
 Pozdrawiam. Proszę być w kontakcie z Poradnikiem.

Małgorzata Z., Łódź
 Właściwie od czego się zaczyna poetycka artykulacja? Może od wyświadczenia właściwego ekwiwalentu dla przeżycia, doznania, odczucia. W każdym razie — „mówienie poetyckie” przyjmujemy na nie jakiejś (niekiedy dopiero tworzącej się) konwencji literackiej. Szkoda, że w Pańskich pobrzmiewa konwencja nie tyle „niemodna” (bo to sprawa względna) ile niesprawna, niefunkcyjna. Bo jakoś trudno przyjąć określenie, że „serce z bólu pęka” czy „zakuwam serce w żelazo, niech nie skomil” nawet wtedy, kiedy wyraża takie frazy konkretne doświadczenie życiowe. Cóż — to odwieczny dramat rozdźwięku między życiem a sztuką.
 Mimo to znajduję w Pańskich miejscami sporo wdzięku. Myślę — że z tego poezjowania z „potrzeby własnego serca płynącego” nie należy rezygnować. Najprawdopodobniej będziemy jeszcze mieli okazję do porozmawiania. Z nadesłanych tekstów najsprawniejszy to chyba „Ptaki”.

„DUŻA CZWÓRKA” czyli...

KAROL BARANIECKI



Wiem, że nic nie wiem, ale skąd ludzie o tym wiedzą?

Wszystko odkryte, wszystko wynalezione, wszystko powiedziane, wszystko opisane, wszystko było... Więc co JA do jasnej cholery mam robić?

STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI (nieobecny)



JÓZEF SKONIECZNY



ZMARTWYCHWSTANIA NIE BĘDZIE! (SALONOWIEC na premierze filmu pt. „WESELA NIE BĘDZIE” na motywach prozy RYSZARDA BINKOWSKIEGO)

Motywów, owszem, sporo (z co najmniej paru filmów). Najmniej jednak z Binkowskiego, niestety. Rysiu, Rysiu, gdzie byłeś, kiedy cię nie było? Nie pierwszy to raz pada książka łupem i ofiarą ambicji reżysera-scenarzysty.
 W jednym twórcy dotrzymali słowa (i to jest sukces): wesela rzeczywiście nie było. Zamiast niego mieliśmy pogrzeb (kolejny w polskiej kinematografii).
 Mielimy wszakże nadzieję, że kto powinien był, ten pogrzebał swe „talenty” wystarczająco doładnie! Pytanie tylko, jak długo jeszcze te filmowe pogrzeby (za 10 milionów i więcej) odbywać się będą na koszt społeczeństwa? I kto może sobie pozwolić na luksus ciągłych ekshumacji połączonych jednocześnie z wciąż nowym pogrzebem? Być może jednak tym razem zmartwychwstania nie będzie.
 Wesela się nie odbyło (choć film miejscami budzi szczerą wesołość), a Salonowiec opuszczał „Polonię” z głuchym katenjammrem. Gdybyż za jego przyczyną mogło ujść tylko to szkło, które — przewracając, gnącione, tłuczone i opróżniane — jest niewątpliwie ulubionym środkiem wyrazu duchowych przeżyć twórców (a co za tym idzie i bohaterów) filmu...
 W związku z powyższym Salonowiec oczekuje zaproszenia.
 Na stype.

SOL.(ONOWIEC) (Oprac. T.S.)



Rezolucje protestacyjna przeciw zagrożeniu prawa człowieka do życia w pokoju podjętą 22 kwietnia zeszłego PTL „PINOKIO”, zwracając się do pozostałych polskich teatrów lalkowych z apelem o przyłączenie się do rezolucji, jej tekst został rozłożony do wszystkich teatrów lalkowych w kraju razem z antywojennym plakatem projektu Jerzego MICHAŁAKA. Na apel odpowiedziało 9 teatrów. Polski Ośrodek Lalkarski przesyła rezolucje do prezesa Międzynarodowej Unii Lalkarskiej.

17 i 18 czerwca br. odbyło się w Sieradzu i w Łodzi tradycyjne Doroczne Święto Czytelników „Głosu Robotniczego”, które tym razem zbiegło się z 25 rocznicą powstania LWP. Występowały wojskowe zespoły artystyczne, m. in. Centralny Zespół Wojska Polskiego. Podesza festynu na Zdroju koncerty odbywały się równoległe na trzech estradach.

Dwunastu zasłużonych pracowników naukowych związanych z oddziałem Państwowym otrzymało z okazji jego 50-lecia — po raz pierwszy w kraju — niedawno ustanowioną honorową odznaką „Za zasługi dla archiwistyki”.

Trzech łódzian znalazło się wśród laureatów międzynarodowego konkursu na projekt malarski przewidziany do realizacji w technice gobelenu. I nagrodę otrzymał Jan GRODEK, II — pochodząca z Łodzi Barbara DZIEWAL-TOWSKA, jedna z III nagród — Zygmunt SUZY. Na konkurs zorganizowany przez gdańską Spółdzielnię Pracy Rękodzieła Artystycznego „Artes” i „Cepelie”. Wpłynęło 257 prac z 15 krajów. Nagrodzone i wyróżnione prace ekspozowane były w czerwcu w Łódzkim Centralnym Muzeum Włókiennictwa.

Jeden z gospodarzy wsi Sława w gminie Aleksandrów znalazł w ziemi dziwne naczynie. Ekspozycja w Muzeum Piotrkowskiego stwierdziła po wstępnych oględzinach, że naczynie to jest popielnica sprzed blisko 3 tys. lat. Przekopano odkryta popielnica to prawdopodobnie tylko fragment ciałopalnego cmentarza kultury lużyckiej.

Pracownicy Konserwacji Zabytków w Łodzi opracowały dokumentację wykonania ozdobnej elewacji odsłoniętej przy budowie trasy W-Z ślepej ściany secesyjnej kamienicy przy ul. Kościuszki 23. Wzrost i wyróżnione prace ekspozowane były w czerwcu w Łódzkim Centralnym Muzeum Włókiennictwa.

Do lokalu zupełnie nie przygotowanego do eksponowania dzieł sztuki przeniesione zostało piotrkowskie Biuro Wystaw Artystycznych. W lokalu tym (po sklepie meblowym), przekazanym w tym celu, w dniu 9 czerwca 1978 roku (Marzą o łódzkim „gabiniecie satyry”...).

Fakt pojawienia się w pianissimo Andantino odgłosu przejeżdżającej ulicą Narutowicza karetki reanimacyjnej kazał nam się zamyślić nad przyszłymi losami tej emblemnej placówki kulturalnej, spągniętej, jak chyba żadna inna w Polsce nowego lokum — napisała w recenzji z koncertu w PFL A. Izykowska-Mironowicz („GR” nr 140). Natomiast w recenzji z poprzedniego tygodnia („GR” nr 134) autorka przypomina, że „raz bardziej paląca staje się burawa zakurzenia nowego fortepianu dla Filharmonii Łódzkiej. Już niedługo wszyscy sznujący się panieci ze „zna od mawiać występów na estradzie Filharmonii Łódzkiej” — konkluduje recenzentka...